

# ROLA.

## PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie: Rocznie rs. 6.—Półrocznie rs. 3.—Kwartalnie rs. 1 k. 50.  
W Królestwie i Cesarstwie: Rocznie rs. 8.—Półrocznie rs. 4.—Kwartalnie rs. 2.  
W W. Ks. Poznańskim: Rocznie marek 22.—Półrocznie marek 11.  
W Galicyi: Rocznie zlr. 12.—Półrocznie zlr. 6.

## PISMO TYGODNIOWE, SPÓŁECZNO-LITERACKIE

POD REDAKCYĄ

Jana Jeleńskiego.

O dziełach nadsyłanych do Redakcyi, zamieszczają się recenzje. Rękopisma nadsyłane nie zwracają się.

Ogłoszenia do „Roli“ przyjmują się po cenie 10 kop. za wiersz lub za jego miejsce. Reklamy po 20 kop. Nadesłane po 50 kop wiersz.

Adres Redakcyi. — Warszawa. — Nowy-Świat Nr. 4.

## Od Redakcyi.

Szanownym abonentom przypominamy iż czas już odnowić prenumeratę półroczną i kwartalną, o wczesne nadsyłanie której, i o ile możliwości, wprost do Redakcyi (Nowy-Świat Nr. 4), uprzejmie prosimy.

Prosimy również wszystkich życzliwych i w ogóle ludzi podzielających przekonania nasze, o poparcie pisma, które ze względu na swoje odrębne stanowisko w prasie i liczny zastęp przeciwników... ma do zwalczania nader trudne warunki. W tym też celu do dzisiejszego N-ru dołączamy osobne ogłoszenie o „Roli“ z prośbą o rozdanie go w kołach swoich znajomych, celem jednania nowych prenumeratorów i rozszerzenia wpływu pisma.

Do dzisiejszego także N-ru dołączają się koperty i listy zwrotne.

## Listy o antysemityzmie.

## V.

(Dokończenie.)

Wiedeń w Maju.

Ale pomimo że mądrzy żydkowie wiedeńscy, w sprawie „jarmarku międzynarodowego“, tak świetną, tak zwycięską (sic!) z ministrem francuzkim stoczyli walkę, nagle rozszalała się tutaj pogłoska, najprzód na giełdzie, potem w dziennikach, że w tym roku jarmarku międzynarodowego nie będzie. Co? dlaczego? Rozruch, niepokój między Izraelem! Było to tak piękne źródło zarobku, i miałyby tak odrazu wyschnąć? Rada municypalna, przestraszona tą wieścią, zainteresowała burmistrza, nawet sam hr. Taaffe posłał po p. Naschauera, żeby się dowiedzieć prawdy.

— „Ach — odpowiedział ten żydek — muszę Waszej Ekscellencyi potwierdzić tę smutną nowinę. Pisaliśmy do najznakomitszych uczestników jarmarku: do Rosyji, Rumunii, Anglii, Francyi i innych krajów, ale zewsząd otrzymaliśmy odpowiedź, że ci negocjanci, przerażeni wybrykami antysemickimi, poprostu nie mają odwagi przyjechać do Wiednia, żeby czego nie oberwać. Gdyby Wasza Ekscellencya był tak łaskaw, a kazał zamknąć do lochu antysemitów, przynajmniej na jakie parę tygodni, toby jarmark przyszedł do skutku i tutejsi żydkowie zarobili by trochę grosza.

Hr. Taaffe nic nie obiecał, ale tylko się uśmieł do woli z roztropności wiedeńskiego żydka. Nieprawdą jest bowiem, aby jarmark nie miał się odbyć z powodu „wybryków“ antysemitów, którzy owszem zachowują się jak najspokojniej, lecz poprostu dlatego, że ten jarmark, zdyskredytowany w oczach całego świata, stracił wszelkie prawo bytu.

Do jakiego stopnia żydzi i ich bezwyznaniowi poplecznicy starają się zwalić na antysemitów wszystko, cokolwiek dzieje się niedogodnego lub szkodliwego w Wiedniu, — dowodzi tego jeszcze jedna, bardzo charakterystyczna okoliczność. Wiedeń jest niezawodnie miastem bardzo pięknym, nawet, śmiej powiedzieć, jednym z najpiękniejszych w świecie, a jednak ubolewają nad tem wiedeńczycy od dawien

dawna, że niema tutaj takiego napływu cudzoziemców jak na przykład do Paryża, Rzymu, Wenecyi i t. p. Aby więc ściągnąć i tutaj cudzoziemców, podróżujących dla przyjemności po Europie, rada municypalna Wiednia nie cofała się nigdy przed żadną pracą i przed żadnymi wydatkami. Upiększono miasto, przebudowano, uregulowano, zaopatrzono we wszelkie ozdoby i dogodności, zamieniono je niemal na ogród kwitnący, a jednak bogaty Anglik, Amerykanin, Polak lub Rosyjanin, jeżeli go już nie pomija, to bawi tutaj dzień, dwa i ciągnie dalej, na południe lub na zachód, za Alpy lub Wołgę. I tak być musi, albowiem podróżnik taki, choćby był i niebardzo wykształcony, nie tych wyszukuje punktów na kontynencie europejskim, gdzie wczoraj lub onegdaj architekt wystawił setkę ładnych pałaców, ale ciągnie tam, gdzie jest kolebka cywilizacyi, lub skąd wychodzą prądy wpływów religijnych lub artystycznych, które przenikają serce całej ludzkości.

Nie rozumiejąc należycie tej prawdy, a sądząc, że wszystko da się osiągnąć siłą kapitału i zabiegliwości, znakomitsi obywatele wiedeńscy, a w tej liczbie mnóstwo żydów, utworzyli tutaj przed kilkoma laty stowarzyszenie, mające na celu wyszukiwanie środków i sposobów, przy pomocy których mógłby się powiększyć napływ cudzoziemców do tego miasta. Oczywiście, rezultat nie odpowiedział podejmowanym usiłowaniam, ani nadziejom. Jak przedtem tak i teraz, Wiedeń jest tylko punktem przejazdu dla tych, co szukają w podróży wyższych i szlachetniejszych wrażeń, niż te jakie dać może stolica Austryi.

Ale jeżeli tak, to niechaj przynajmniej odpowiadają za to — kto? Antysemici! To pragnienie, ta intencja bezcenna, aby za wszystko uczynić odpowiedzialnymi antysemitów, nie oburza mnie już ani rozśmiesza, ale służy mi raczej za wskazówkę, z jaką to namiętnością żydzi i bezwyznaniowcy chcieliby zamknąć usta tym ludziom dobrej woli i prawdziwego poświęcenia. Powód zaś do powyższych uwag dała mi petycja podana w tych dniach hrabiemu Taaffe przez dwóch baronów żydowskiego pochodzenia, w imieniu wzmiankowanego stowarzyszenia, które się w piśmie tem użala na mniemane bezprawia antysemickie i dowodzi, że im to przypisać należy iż cudzoziemcy, a zwłaszcza bogaci żydzi nie chcą przyjeżdżać do Wiednia. Ciekawa rzecz, czy to nieżadne natręctwo potrafi zachwiać rząd w jego lojalnem i bezstronnem postępowaniu?

Wśród takich to obaw, zabiegów i trosk, z jednej strony, a prac, ofiar i nadziei z drugiej, zebrał się w Wiedniu, w ostatnich dniach Kwietnia, wiec katolicki całej monarchii — o którym pisały już wasze pisma — wiec dziwnie piękny, liczny i nakazujący uszanowanie. Złożony z żywiołów, które stanowią majestatyczną budowę Kościoła i odzwierciedlający jego wsapaniałość, od kardynała, do klasztornej bractwiska, od księżęcia do wyrobnika, od bogatego pana zaszczyconego znajomością i łaską monarszą do ubożego chłopka zgarbionego nad skibą roli, — wiec ten był obrazem organizacyi społecznej katolickiego ludu i wywarł też silne, imponujące, niezatarte wrażenie na umyśle przyjaciół i nieprzyjaciół imienia chrześcijańskiego. Wiec obradował trzy dni, a obradował z głębokością i kompetencyą zupełną nad wszystkimi, tak licznymi punktami wielkiego, religijno-społecznego programu naszej epoki. Gdy-



bym był w stanie zawrzeć w jednym zdaniu rezultaty tych obrad, to powiedziałbym, że wiec katolicki zebrany w Wiedniu, skonstatowawszy straszliwy upadek wszelkich podstaw moralnych i religijnych, wskutek panującego dotąd bezwyznaniowego liberalizmu, wezwał wszystkich, komukolwiek chodzi o uratowanie przyszłości, do pracy zorganizowanej na podstawie nauki Chrystusowej. Żydostwo wiedeńskie, rozgoryczone i rozdrażnione tylu przeciwnościami, widziało w wiecu tym nową, kolosalną demonstrację antysemityzmu, a pojmowanie takie o tyle jest uzasadnionem, o ile cała historia chrześcijaństwa przedstawia walkę Kościoła z wrogami Chrystusowymi, pomiędzy którymi Juda nie ostatnie zajmuje miejsce. Dnia 2-go Maja, wiec katolicki odbywał ostatnie swoje posiedzenie, a jednocześnie, w tym samym dniu, obywatele Wiednia przystępowali do wyborów municypalnych w sześciu cyrkułach miasta i w pięciu z nich wybrali kandydatów chrześcijańskich, zadawszy żydom ogromną klęskę.

Taką była odpowiedź chrześcijańskiego Wiednia na podżeganie, szczywania i denuncjacje żydowskie.

Zobaczmy, co to były za wybory.

Wiedeń, jako całość, posiada reprezentację, złożoną z burmistrza, rady municypalnej i magistratu, rozpada się zaś na 10 cyrkułów, z których każdy posiada znowu zarząd autonomiczny. Na czele cyrkułu stoi rada cyrkułowa, czyli tak zwany wydział, którego prezes jest właściwie burmistrzem cyrkułowym.

Jakkolwiek kompetencja wydziału rozciąga się na bardzo ważne — szkolne, administracyjne i dobroczynne — sprawy, to jednak tylko mandat do centralnej rady municypalnej nęcił ambicję znakomitszych obywateli; a tymczasem rada cyrkułowa była w zapomnieniu i zapełniała się, niewiadomo jak, drobniejszymi poplecznikami panującego systemu. Ale odkąd na widowni miasta zjawił się antysemityzm legalny i w dobrej wierze działający, uwaga powszechna zwróciła się i na wydziały cyrkułowe, ażeby je wydrzeć z rąk żydowskiej klikki. Wybory przeto do tych korporacji autonomicznych przestały być zabawką paru wszechpotężnych żydków, a zamieniły się natomiast, na podobieństwo wyborów do rady centralnej, na gorące zapasy dwóch stronnictw. Jest w tem wielka słusność. W gminie rządzonej autonomicznie, kto posiada fundamenta społecznej budowy, ten oczywiście, prędzej czy później, musi posiadać jej wierzchołek. Gdy więc stronnictwo „Zjednoczonych Chrześcijan“ usadowi się we wszystkich dzielnicach miasta, jako ważna część zarządu, to i centralna rada gminna dostanie się w jego ręce. Ale stronnictwo to czyni podobno jeszcze lepiej, ponieważ jednocześnie zdobywa obwód i jego środek. Takie to były wybory, o których wyżej mowa, a że waga ich, jak się pokazuje, jest niemała, uważałem za potrzebne zwrócić i na nie uwagę czytelników „Roli“.

List ten wypadł dosyć obszernie i lękam się, żeby was nie znużył swoją rozciągłością. Zdawało mi się atoli rzeczą

pożyteczną wyczerpać materiał dla dokładnego scharakteryzowania sytuacji. To pewna, że dla Wiednia i dla Austrii, a kto wie, może i dla świata, chwila obecna stanowi przełom niezmiernej doniosłości. Widocznie Opatrzność, wychłostawszy skorpionami hańbiącego i upadającego żydowskiego panowania — dumne niegdyś i rycerskie narody, za to że się sprzeniewierzyły odwiecznym ideałom prawdy i dobra, — prześlagnana w końcu i przejednana nadmiarem cierpień, składa znowu losy historyi w ręce przedstawicieli i wyznawców idei Chrystusowej, to jest w ręce jedynie uprawnionych spadkobierców wielkiej tradycji chrześcijańskiej.

Bolesław Szczerbiec.

## KONIEC ŚWIATA.

STUDYUM PSYCHOLOGICZNO-SPOŁECZNE  
przez Edwarda Drumont.

KSIEGA TRZECIA.

Monopole.

(Dalszy ciąg.)

„Tak więc — pisze p. Hubner — sam fakt wprowadzenia uczciwego dostawcy między liwerantów uprzywilejowanych, zdołał obniżyć cenę mosiądzu na ładunki o 45 fr. na 100 kilogramach, to jest więcej niż o 25 na 100, lubo cena mosiądzu nie spadła w tym czasie.

„Różnica między ceną mosiądzu na ładunki, 170 fr., a cena mosiądzu dla przemysłu, 135 fr., zredukowana w ten sposób została do 35 fr. Nie byłaby była nigdy tak wielką, gdyby gen. du Barail i jego następcy byli postępowali tak, jak to powinni byli uczynić przez wzgląd na interesa skarbu publicznego i kraju.

„Obliczając dostawy mosiądzu, które musiało zakupić ministerjum wojny od r. 1873, można ocenić na sto milionów franków z górą sumę, która zostałaby oszczędzoną przez puszczenie na licytację publiczną tych dostaw mosiądzu“.

Łatwo zgadnąć ile to łapówek kryje się po za temi zyskami bajecznemi, po za tą dobrowolną nieopatrznością ministerjum i izb naszych. Łatwo sobie wytłumaczyć, w jaki to sposób powstają prawie na oczekaniu te majątki olbrzymie, te majątki przekłete, które wyrosły na ruinach ojczyzny. Jeden z tych o których mówi p. Hubner, jeden z tych Mandrinów, którzy, według wyrażenia Adryana Scholla, żyją ładunkami, przed kilkoma laty zmuszony był wchodzić w układy ze swymi wierzycielami; dziś zaś olsniewa Paryż swoim zbytkiem, a Albert Wolff obsypuje go kwiatami.

Nikt, powtarzam jeszcze raz, nie chce zająć się publicznie temi kwestyami. „To infamiał — mówi do Hubnera p. Kazimierz Perier — wszyscy ci ludzie zasługują na roz-

wie groźnem nie jest? — zapytywał — i szedł już po za parkiem, w stronę brodu.

Tam gdzie bród, tam niezawodnie spotka ich!

Włodzimierz upajał się przypuszczeniem możliwego niebezpieczeństwa w tem spotkaniu się z chłopami. Było w nim w tej chwili coś z groźnego lwa i ze złośliwej osy; lew się z nim srożył, osa szykowała żądło, w ślepej nieogledności.

Tak wciąż idąc, stanął wreszcie nad rzeką, u brodu. Rozejrzał się znowu. — Gdzież są oni? gdzie niebezpieczeństwo?

Nad Włodzimierzem przeleciało stado szpaków i zapadło gdzieś w dali, w oczeretach nadwodnych. Z tej dali, dolatuje go monotonne tarkotanie kół młyńskich. W rzeczce plusnęła srebrnoluska ryba, za nią poskoczy szczupak; tę rybą gonitwę zafałdowały na powierzchni drobne fale — i rybka i szczupak zniknęły w toni. — Na wierzbie przysiadła kukulka i kuka. Pokwakują dzikie kaczkę, zaszyte w trzcinach. Cisza.

Włodzimierz począł się przeprawiać przez bród... pójdzie na grunt nieprzyjacielski! Wylał pręt wiklinowy i nim mierzy głębokość wody. Przeszedł bród wreszcie. Tu znowu począł się rozpatrywać. Przed nim wije się ścieżka, prowadząca przez łąkę, do chłopskich ogrodów warzywnych, podsuwając się pod ten dwór zakłęty, gdzie mieszka

## VON KRAMST

przez

Autorkę „Opowiadań“.

(Dalszy ciąg.)

— A więc, chcę sam rozprawić się z wilkami, rozumiecie?

-- Rozumiemy.

— Pójdziecie do oficyny, tam Colin da wam poczęstunek — i czekać będziecie mego powrotu!... no, marsz!

Strzelcy podążyli do oficyny.

Włodzimierz rozejrzał się wkoło i wyprostował się dumnie.

Gdzie on się teraz uda?... Zkąd nadchodzi to chłopstwo, ten motłoch, ta ciemna bryła?

Nie nadejdą prostą drogą, od mostu — mówił sobie w duchu — ich ruchy na gościńcu, dojrzeliby przejeżdżający podróżni... Pójdą bez wątpienia od strony parku... iść będą łąkami do brodu, a przeprawiwszy się, dopadną do parku... i już są u mnie... Hej, zanim tam dojdziecie, hołoto! rozprawić się musicie ze mną, von Kramstem! — zawołał prawie głośno. — A na ten motłoch, — dodawał w myśli — dosyć by mej pięści i kija... Czemuż niebezpieczeństwo prawdzi-



strzelanie!" A nic a nic nie poczyna, żeby ukarać te infamie...

Finansiści, których izba obrachunkowa mogłaby zenować, dzięki swojemu majątkowi wchodzą w rodzinę tych, których zadaniem jest ich kontrolować. P. Secretan wydał swoją drugą córkę za syna p. Bethmont, pierwszego prezesa izby obrachunkowej. Gdyby ten zwyczaj się rozpowszechnił, sprawozdanie budżetu każdego ministerium byłoby bardzo uproszczone, dokonywałoby się w gronie familijnem, przy kominku. Gdyby zabrakło jakiego dokumentu, zięć rzekłby: „Nie turbuj się o to, kochany teściu! Daj nam filiżankę herbaty i mówmy o czem innym.“

Proszę sobie zanotować, że p. Bethmont nie miał złudzeń co do liwerantów ministerium wojny, gdyż pod d. 21 Września 1885 kazał wydrukować w „Dzienniku urzędowym“ raport, stwierdzający nieporządek w rachunkowości tego ministerium w r. 1882.

Jeżeli zachodziły malwersacje, każdy przyznać musi, że elementarnym obowiązkiem sądów było skazanie ich sprawców; ale one uznają zapewne za stosowniejsze potępić mnie za to że wykazałem, z jaką zbrodniczą lekkomyślnością marnowane są te pieniądze, które chcąc zapłacić skarbowi, opodatkowani ciągną się do ostatniego.

Ten rezultat zresztą leży zupełnie w logice dzisiejszej. Erlanger kradnie, a karzą za to pułkownika Noiritina. Wilson sprzedaje ordery, a sędzia śledczy dostaje za to nagane. Liweranci armii dostarczali ładunków, które były do niczego, a zobaczycie że mnie skazą na więzienie i na grzywny.

Komisya wyznaczona do zbadania tej sprawy zdumiona była temi skandalami, ale prawdopodobnie będzie musiała się ograniczyć na żalach platonicznych. Nie ulega wątpliwości, że generał de Freschville, wybrany na sprawozdawcę z tej sprawy, jest nie tylko dobrym patriotą ale francuzem dawnej daty, bardzo bystrym i sprytnym, widzi on doskonale niebezpieczeństwo grożące krajowi ze strony tej spekulacji miedzianej, ale cóż tu począć z takim rządem jak nasz. „Istnieją wyroki sądu kasacyjnego, które uznają to przedsiębiorstwo za zupełnie uprawnione“, twierdzą jego koledzy, znający się na rzeczy.

Siła żydów leży w tem, że nie posługują się szalbierstwami odosobnionemi; wymyślili system w którym wszystko trzyma się jedno drugiego, który obejmuje kraj cały, który posiada wszelkie organa działania; wzmocnili punkta na których można ich było przydybać, pozmieniali bez hałasu prawa które im zawadzały, pouzyskiwali wyroki, które paraliżują moc tych praw, podporządkowali prasę pod kapitał, tak, że biedaczka nie jest w stanie nic mówić.

Najwstrętniejsze operacje są tak obmyślane, żeby mogły się uchylić od wszelkiej represyi, i dziwiłem się wielce bystrości, z jaką generał de Freschville, przy pomocy jedynie zdrowego rozsądku i prawości żołnierskiej, zrozumiał ich mechanizm.

Nawet ogłoszenie publicznej licytacji nie stanowi

ona; w lewo biały domek ochrony, i most na rzece, i gościnniec wysadzany jarzębiną od Żerdzi, do Wilczanki.

Zewsząd teraz zastąpić im łatwo drogę, bo dobiedziesz tędy można do gościńca i tu stać na czatach... ale czy przyjdzie ta cholota? Na drodze cisza, a i tu nic nie widać.

Tylko szpaki rozpoczęły gwizdanie, tylko czajki rozkrzykują, tylko rybitwy zajękną w przelocie.

Włodzimierza poczynały wreszcie niecierpliwić te gwary życia w naturze, bez ludzkiego głosu. On tu przyszedł, aby się poborykkać trochę z jakimś niebezpieczeństwem, miał nadzieję pogromienia własną ręką rozigraną, a może i pijaną, zwierzęcą tłuszcę, chciał dokonać czegoś bez rozgłosu, chciał zatrzeć ślad bezrozumu ciemnego żerdzińskiego chamstwa, którem się ona... opiekuje; spodziewał się czegoś, może nawet trudnego w przeprowadzeniu, a tu, zamiast rycerskiego harcu, zastaje pasterską sielankę: łąki, gaje, wodę, zielen; braknie tylko pasterki, dla którejby kij wystrugał, która mu znosi wieniec i maliny. Wystąpił niechcący zbrojno, niby w konflikcie tragi-rycerskim, podobnym się też staje do kawalera z Manszy i chyba z marą swej wyobraźni pójdzie w zapasy.

Włodzimierz odczuwa przykro ten zawód, wraca mu rozdrażnienie nerwowe, szyderstwo bierze nad nim górę. Widocznie oczekiwany dramat rozwiewał się teraz w przestrzeni, jak mgły poranne na żerdzińskich łąkach. Von

przeszkody. Żydzi lub ich spółnicy zakupują taką a taką miedź, taką a taką materję, gąbki pewnego rodzaju—pokazuje się bowiem, że i z gąbkami zrobili ciekawą spekulacyę. Naraz minister, a niekiedy bez udziału ministra, urzędnic ministerjalny zaprzędany żydom, ogłasza licytację, żądając w bardzo krótkim przeciągu czasu ogromnej ilości owej miedzi, owych materyj, owych gąbek. Ten kto zakupił owe przedmioty, sam jeden stanąć tylko może do licytacji i ustanawia sobie cenę jaką chce, — ale faktycznie, nie przeszkadza nikomu stanąć do współzawodnictwa ze sobą. Niech żyje wolność!—zawoła p. Leroy Beaulieu.

Obojętność w tej mierze jest ogólna. Gorzej jeszcze: wielu zachowawców przeciwni są piętnowaniu tych potwornych majątków, powstałych w ten sposób. Dla nich bogactwo, choćby z najnieczystszych źródeł pochodzące, zasługuje na szacunek; jest ono cnotą, szlachectwem, dogmatem niemal, którego atakować nie wolno.

Jakże miło robi ci się na sercu, gdy ludzie tacy oświadczają ci, że są monarchistami. Nie mają oni ani cienia pojęcia co to była monarchia; mniej znają tradycje i zasady starej monarchii, aniżeli inteligentni republikanie, którzy czytali historję.

Monarchia polegała na idei sprawiedliwości, której obcy są zupełnie zachowawcy poczytujący za zbrodnię napaśtowanie człowieka posiadającego pałac, zamek książęcy, las obfitujący w zwierzynę. A jednak stara Francya dlatego była wielką, że w niej nie oszczędzano zdzierców i zdrajców, choćby najwyższe zajmowali stanowiska, choćby posiadali mitrę książęcą albo byli marszałkami, to jest kuzynami króla.

„Śmieszny proces! — wołał marszałek de Marillac. — W sprawie mojej chodzi jedynie o siano, słomę, kamienie i wapno!“ Tymczasem Richelieu zdawało się, że kamienie potrzebne są na budowę fortec; uważał, że podczas wojny potrzebna jest jazda, a chcąc mieć jazdę, trzeba żywić konie,—i dzięki księciu kardynałowi marszałek dał głowę pod topór katowski na placu Grève.

Clemenceau w podobnym wypadku rzekłby do winowajcy: „Ja nic nie powiem, tylko weź kilka akcyj na „Justice!“ a zachowawcy wrzeszczeliby: „Nie kwestyonuje się rachunków człowieka tak bogatego, że może wydawać sute fety!“

P. Bethmont wreszcie, gdyby go zrobiono sędzią Marillaca, byłby się do niego odezwał: „Mój panie! postępowanie pańskie jest ohydne; skompromitowałeś obronę kraju, byle tylko powiększyć własny majątek: jest to prawdziwa zbrodnia przeciw Ojczyźnie; nie zdziwisz się więc pan zapewne gdy się dowiesz, iż mam zaszczyt prosić o rękę pańskiej córki dla mego syna“.

P. Hubner mógł napisać tę broszurę, gdyż on już, jak słyshałem, wycofał się z interesów i posiada dom na wsi, gdzie żyje sobie spokojnie; — poczynający przemysłowcy słówka pisać nie śmieją. (d. c. n.)

Kramst z tem pragnieniem niebezpieczeństwa, staje się w oczach Włodzimierza śmieszna postacią. Konieczność sytuacji podjął też wnet Włodzimierz, i dźwięcznym tenorowym głosem zaśpiewał:

Il pleut, il pleut bergère,  
Que ne suis-je la fougère...

Ale i śpiew nie ulżył jakimś dziwnemu ciężarowi, który go uciskał. Gdyby przynajmniej miał tu Michasia przy sobie?... gdyby mógł komus powiedzieć: „coś mi jest... coś mi dolega“...

I śpiewał dalej, lecz śpiewał już pieśń inną:

Meine Ruh ist hin,  
Mein Hertz ist schwer:  
Ich finde sie nimmer,  
Und nimmer mehr...

Ale zaledwie ostatni dźwięk głosu Włodzimierza dogasł swem brzmieniem w przestrzeni, gdy młodzieńcem coś nagle podrzuciło. Na dróźnie, między opłotkami pokazały się pierwsze poczty nieprzyjacielskie. Włodzimierz nie miał już żadnej wątpliwości: gromada chłopstwa, uzbrojona w widły, w cepy w kłonicę, szła w kierunku, gdzie on stał.

— *Tiens, tiens, tiens!*—zawołał, jakby zdziwiony.— *Ma foi, idą!*... — a potem dodał: — *Ohé! mes moutons arrivez!*... dobrze, że idą..

I jakby na jego zawołanie, banda cepowników, widłowniców, pospiesznym krokiem zbliżyć się ku niemu poczęła.



## Listy z Galicyi.

XXXIX.

(Dokończenie.)

Dnia 15 Maja.

To co hr. Schoenborn nam przyrzekł, jest dobrem wielkiem ale niezupełnym, t. j. nie takim, jakiego mielibyśmy prawo odeń żądać. Prócz pomnożenia sił w sądach galicyjskich, jest rzeczą niemniej ważną, a kto wie, czy nawet nie ważniejszą, ich puryfikacya. Dopóki nie będziemy uwolnieni, od łapowników w sądach powiatowych, a od zacietrzewionych biurokratów w sądach kolegialnych, o istotnem poprawieniu stosunków w łonie naszej Temidy mowy nie będzie.

Że twierdzenie moje jest słuszne, to się najlepiej okazuje z wojny, jaką „Kuryer Lwowski“ wytoczył p. p. Kratterowi i Wurstowi (Roińskiemu), dwóm najbardziej wpływowemu adwokatowi lwowskiemu, utrzymującym z wyższymi sferami sądownictwa galicyjskiego ścisłe stosunki. Pismo to prawie w każdym numerze, od sześciu tygodni, zarzuca im takie rzeczy, za które zwykłych śmiertelników wtrącają do więzienia; oni jednak milczą, a sąd i prokuratura, do których z urzędu należy dochodzenie prawdziwości czynionych przez pismo lwowskie zarzutów, robią takie miny, jakby o niczem nie wiedziały. Czy coś podobnego mogłoby się dziać gdzieindziej? Czyba nie...

W miesiącu Lipcu odbędą się wybory do Sejmu. Główne komitety przedwyborcze już się utworzyły, a teraz zawiązują się komitety powiatowe. Miasta będą się usilnie starały wybrać własnych kandydatów, dotąd bowiem często się zdarzało, że komitet centralny narzucał im osobistości nie mające z miastami nic wspólnego, lecz czy potrafią one swój zamiar urzeczywistnić, wielkie jeszcze pytanie. W obu komitetach centralnych, tak w lwowskim jak w krakowskim, zasiadają ludzie doświadczeni, w walkach politycznych osiwiali, gdy przeciwnie, w komitetach miejskich pełno nowicyuszów, którzy może mają bardzo dobre chęci, lecz brak im rutyny. W polityce zaś prędzej zwycięża rutyna, niż zapal młodzieńczy.

W ubiegłym miesiącu, cały jeden powiat, mianowicie stara ziemia żydaczowska była przez kilka dni widownią pewnego rodzaju popłochu. Oto jednego poranku wójtowie wszystkich gmin, tak wiejskich jak miejskich, otrzymali rozkaz ze starostwa, żeby wysłali do miasta Stryja wszystkich swoich rezerwistów. Ponieważ działo się to w Kwietniu, przed samemi Świątami, kiedy tysiące zarobników, do powiatu żydaczowskiego należących, było rozsypanych po całym kraju, (wielu z nich znajdowało się nawet na Bukowinie), przeto łatwo można sobie wyobrazić, co ten rozkaz narobił. Listy, posłańcy, depesze, leciały na rozmaite strony, a biedni rezerwiści sprzedawali co mieli, robili testamenty, przeklinali świat i swój los nieszczęśliwy! Nakoniec, w dniu oznaczonym, pojawia się w mieście Stryju

Włodzimierz miał być stroną zaczepną, szukał więc odpowiedniego miejsca do zasadzki. Tuż koło brodu, stał krzyż dębowy, opleciony rozmaitym roślinnością; z boku krzyża, pęk wierzb, z których jedna, nieco nadpruchniała, wyższą była od innych. Von Kramst rozsunął gałęzie głogu przy tej wierzbie i oparł się plecami o jej pień.

— Idą — mówił do siebie — lecz nie przejdą brodu...

Niebezpieczeństwo zbliżało się nareszcie: nadchodząca gromada liczyła do trzydziestu chłopów.

— Zgadłem, myślał Włodzimierz — idą nie gościńcem, lecz tędy...

Nakoniec chłopci byli już koło brodu; na czele szedł Jasiak Mikos, z siekierą w ręku.

— Ano, coś wam powiem — ozwał się Jasiak — za ręką pójdziewa już chyłkiem, trza, żeby nie zoczyli... Jenoby teraz chyba dokumentnie, pogadać wedle tego, jak się imać wyganiania *miemca* i sprania Siedlickiego. Jak ci ten *miemiec* po dobrej woli nie pójdzie het, won z Wilczanki, to go przetrącimy, a psubrata rządę sprać, sprać, choćby okaleczyć nie zawadzi.

— Juści przetrącać, prać i okaleczyć! — wołali inni. — Co Bóg da, to da!... czy przetrącenie czy okaleczenie! a niech wiedzą niecnotniki, że chłop się ujmie za sierocą krzywdą.

— My pili dzisiaj na marność ich zdrowia i życia — począł Wojciech Trybuna. — Ja od godów wódki w gębie

około 8,000 ludzi. Rynek, ulice, place, ledwie mogły pomieścić tylu synów Marsa. Tu jednak spotkało ich to, czego się wcale nie spodziewali. Major, pełniący obowiązki komendanta, powiedział im, że widocznie zaszła omyłka, ponieważ on telegrafował jedynie po tych wszystkich rezerwistów, w liczbie 28, którzy z ziemi żydaczowskiej mieli przyjść do ćwiczeń z nowym karabinem Manlichera, a tymczasem przysłano mu wszystkich bez wyjątku. Komisarz, zastępujący nieobecnego starostę, źle zrozumiał depeszę majora i narobił takiego bigosu. Chociaż oburzenie między rezerwistami było ogromne, mimo to nie przyszło do żadnych awantur. W jednej tylko miejscowości, gdy kilkudziesięciu z nich kolej nie chciała przewieźć bezpłatnie, wzięli szturmem wagony i kolej, rada nie rada, musiała ich powieźć.

Fakt bardzo bolesny wydarzył się ostatnimi czasy we Lwowie. Syn znakomitego posła naszego Ottona Hausnera, przegrawszy w Kasynie kilka tysięcy guldenów, których następnie nie mógł uiścić (tak mówią w sprawę wtajemniczeni), pojechał nazajutrz w samo południe na cmentarz Życzakowski, i tam dwoma strzałami z rewolweru życia się pozbawił. Był to mężczyzna 29-cio letni, przystojny i miły. Ukończył prawo i piastował już stanowisko komisarza powiatowego, które u nas jest równorzędne z rangą kapitana. Tragiczny ten wypadek wywołał w całym kraju wrażenie bolesne, każdy bowiem ubolewa nad biednym ojcem, człowiekiem schorzałym, którego taki straszny cios dotknął. Lękam się, aby ta katastrofa rodzinna nie zniechęciła do reszty posła Hausnera do kariery politycznej, która dotąd przynosiła mu same ciernie, a mało przyjemności.

Na zakończenie listu niniejszego, opowiem Wam historię całkiem prawdziwą, sądownie stwierdzoną, z której może skorzysta jaki autor, co gdy nastąpi, z pod pióra jego wyjdzie rzecz bez porównania lepsza, niż te wszystkie nowelle i powiastki, któremi nas noweliści od lat kilkunastu bez miłosierdzia zasypują. Oto historia.

Przed dwoma laty, ubogiemu stróżowi kamienicznemu w Czerniowcach, niejakiemu Teodorowi Stefarukowi, skradziono córeczkę siedmioletnią. Stało się to w dniu w którym nocował u niego chłop, Mikołaj Anyecz, biedny podróżny. Gdy starania czynione przez władzę, aby dziecko odszukać, spełzyły na niczem, Stefaruk wziął kij żebraczy i puścił się w drogę najpierw po Bukowinie, następnie po Galicyi, i od wioski do wioski chodząc, pytał o swoją dziecinę. Tak wędrował przez półtora roku, głodny, w łachmanach, napastowany często przez żandarmów, gdyż nie umiał się przed nimi wylegitymować, nakoniec zwątpiwszy, by mógł znaleźć swoją dziecinę, postanowił wrócić do Czerniowiec. Na początku Lutego r. b. znajdował się we wsi Dźwiniaczka nad Dniestrem. Gdy na końcu siola przechodził obok nędznej chaty, wybiegła z niej niespodzianie dziewczynka mała, ubogo odziana, bez chustki na głowie. Stefaruk stanął i krzyknął: „Marusia!“ Na ten głos, dziecko rzuciło mu się na szyję, wołając: „Mój ojczel!“

nie miał, zażegnał się jej przed jasnie panienką i przed dobrodziejem... a dziś pił, bo to na jasnie panienki dole! Hajże! chodźwa wygnąć psubratów z Wilczanki, bo to panienki i nasze!

— Nasze! nasze! — powtórzyła gromada.

— Piliśwa już na dobrą dole! panienki i będziewa pić jeszcze! — krzyknął Jasiak — tylko prać trzeba i przetrącać!

— Ja tam nie pił ni krzyny — mówił Bartek Kłos — bom ci zaprzysiągł i duszy na zatracenie nie dam.

— At, nieprzymierzając, głupiście Bartku i tyle — odrzekł Jasiak. — Wódka grzeje i daje mądrość; a kiej dziś wypilem, to ci zaraz dokumentnie wiedziałem, że te bory, te łąki, te pola, to nasze! wszystko dokolusienieczka nasze!... Juźci nam nieboże, bieda do żywego mięsa dojadła, bo człek głupi o swoje nie prawuje się, jeno mu taki *miemiec* i taki ladacznik rządca przewodzi. Siedlicki, żeby go cholera! zmarnował nas na dziady! Kiej już niema to być jasnie panienki to niech rozdada chłopom! a to on *miemiec* z za *górów*, z za *rzeków* siadł se tu, i siedzi... niech go *palarusz!*

— Ponoś na *lacetacyi* to kupił?

— Kupił, nie kupił... co nam po *buzulmanach miemcach*, one w Matkę Boską nie wierzą!...

— To się też i za Największą pannę ujmiewa... i spierzewa tych...

(Dalszy ciąg nastąpi.)



Czy jednak myślicie, że to już koniec jego odyssey? Bynajmniej! Mikołaj Anycz, ten co u Stefanuka nocował a właściwie Orszowski, muzykant z Dźwiniaczki, zapewnił wójta w gminie że Stefanuk wszystko skłamał, ponieważ dziewczynka jest jego własną córką. Wójt nie oddał tedy dziecka ojcu i ten wrócił sam do Czerniowiec, gdzie dopiero temi dniami wniósł skargę do sądu, po tej podróży bowiem musiał jeszcze przeleżeć całe trzy miesiące, chory śmiertelnie na tyfus. Jaki będzie koniec procesu? Doniosę, gdy wyrok zapadnie.

Rolarz.

## PAN PUŁKOWNIK W DERKAŁACH.

przez

Wincentego hr. Łosia.

(Dalszy ciąg.)

— Dziesięć kroków! — zawołał do mnie pułkownik. Nie zrozumiałwszy, chciałem się zbliżyć i ucałować rękę dziadka. Ten huknął.

— Dziesięć kroków! kawalerze!

Stałem jak wryty, a pułkownik, zmierzwszy oczami przestrzeń między mną a sobą i widząc że nie wynosiła dziesięciu kroków, cofnął się sam o jakie dwa kroki.

Zawołał na pana Belę, któremu wskazał miejsce przy stole, mówiąc.

— Pisz waćpan protokółarne wytłumaczenie się tego hultaja, bo na tej zasadzie odsądzę go od dziedzictwa po mnie.

Adjutant usiadł i uchwycił pióro, a pułkownik zapytał mnie.

— Waćpan wyszpiegowales mnie?

— Nie, stryju, tylko...

— Żaden stryj, tylko pułkownik! — huknął dziadek.

— Nie, panie pułkowniku, tylko myślałem że to strachy i...

— Strachy? Waćpan tchórz! Czemużes waćpan mnie o tych strachach nie uprzedził? mnie w moim domu?

Milczałem, a pułkownik obrócił się do pana Beli.

— Pisz że tchórz! intrygant! na tej zasadzie nie uznaję go za swego krewnego i nie dopuszczam do dziedzictwa.

Obrócił się do mnie i tak dalej mówił.

— Daję waćpanowi dwadzieścia i cztery godzin czasu dla opuszczenia Derkał. Ojcu swojemu możesz dać *respons* odemnie, że się żenię, dziś intercyzę robię i Derkały mej żonie dożywotnio zapisuję, a teściowi memu wypuszczam w dzierżawę. Po najdłuższym życiu mojej żony powrócę do rodziny. Już nie chcę tej opieki rodziny, to tchórz! szpieg! intryganci!

Urwał i, prostując się, zapytał tonem ostrym.

— Co waćpan onegdaj rozmawiales z moją narzeczoną, panną Olimpią Kurską?

Pocierpłem na całym ciele i namyślałem się.

— Odpowiadaj waćpan! Adjutancie pisz!

Po kilku sekundach namysłu, skłamałem.

— Prosiła mnie, abym uprosił pana pułkownika, aby nie zwlekał z podpisaniem aktów i kontraktów i ze ślubem...

Pułkownik spojrzał na mnie badawczo i odmruknął.

— Dziś podpiszę! A dlaczego waćpana o to prosiła?

— Nie wiem! domyślałem się tylko, że gdy raz akta będą podpisane, mają zamiar nie pozwolić panu pułkownikowi wyjechać do... Garibaldiiego.

Pułkownik zamyslił się, zapalił fajkę, nieco się udobruchał i zawołał.

— Żegnam waćpana!

Ukloniłem się i wybiegłem.

Kasztelanowa czekała na mnie w sali jadalnej, która zaraz do sieni przylegała.

— I co?

— Bardzo źle! dziadek zmiarkował... bardzo źle.

Kasztelanowa częstowała mnie kawą, którą piłem bez żadnego apetytu. Wtem chłopak kredensowy przebiegł przez salę z listem w rękę.

— Co to? — zapytała kasztelanowa.

— List od pana do Wybranówki! duchem! — odparł przystając i pobiegł dalej.

— O! bardzo źle! — pomyślałem.

Nadszedł pan Albert i zrobiliśmy zaraz walną naradę, której rezultatem było, iż, jeśli co, to wyjazd kasztelanowej mógłby jeszcze wstrzymać pułkownika od ostatecznych i rozstrzygających kroków.

Kasztelanowa dodała.

— No i Garibaldi... ale...

Ruszyliśmy tylko ramionami. Pułkownik nadto kazał sobie przynieść na górę śniadanie, więc zniknęła i możność pomówienia z nim. Pan Albert desperował, bo był już napięty cały wstęp do dzieła, a tu taka wybuchła awantura. Sam głębokie czułem przyspieszenie, bo w gruncie rzeczy, ja tylko byłem powodem przyspieszenia planów dziadka, które, gdyby nie te „strachy“, łatwo mogły się rozwiązać, jeźliby mi się z czasem udało udowodnić podstępne zamiary Kurskich.

Ale teraz o tem mowy być nie mogło. Czas schodził na próżnych naradach.

Do obiadu również nie zszedł pułkownik, a panu Albertowi, oznajmiającemu mu o wyjeździe kasztelanowej największą, co do tego, okazał obojętność.

Po obiedzie, jak zwykle, przeszliśmy do salonu. Około godziny trzeciej dał się słyszeć turkot przed domem. Myśleliśmy, że to zajeżdża powóz po pułkownika, tymczasem wszedł lokaj i zaanonsował.

— Pan Poltański!

— Kto to? *comment*? co to? — zapytała kasztelanowa.

Objasniłem ją. Posłano po pułkownika, którego jednak w domu nie było; poszedł do kanonika. Ciotka nie chciała przyjmować gościa, bo ją głowa bolała. Musiałem więc ją spełnić ten obowiązek.

Pan Poltański wszedłszy, zaraz wyraził mi swoje zadowolienie, że mnie zastaje samego, gdyż właściwie do mnie przyjechał, a przy tej sposobności pragnął złożyć swoje uszanowanie pułkownikowi.

Zdziwienie moje, po tem oświadczeniu, było niemałym. Prosiłem więc gościa, aby zechciał czempredzej wyjawić mi swój do mnie interes, a pan Poltański tak zaczął.

— Delikatna to materya, ale nie mogłem odmówić Kurskim.

— Co takiego?

— Hrabia podobno oświadczyłes się pannie Olimpi?

Śmiertelna bladość, a zaraz po niej, poty okryły mą twarz. Milczałem. Poltański, widząc moje niezmiernie zmieszanie, mówił dalej.

— Otóż Kurscy polecili mi się zapytać... wybadać hrabięgo, czy zamierzasz dalej kontynuować... czy oświadczenie się hrabięgo mają uważać za...

Przerwałem.

— Pozwoli szanowny pan, że chwilkę się nad tem zastanowię... naradzę z kasztelanową... oto ma pan tutaj albumy... ilustracje... ja wyjdę i za chwilę wrócę.

Wybiegłem do pokoju kasztelanowej i w krótkości opowiedziałem jej misję pana Poltańskiego, wynikłą z mojego powiedzenia w Wybranówce, mającego tylko na celu wybadanie sentymentów panny Olimpii względem pułkownika.

Ciotka po długim namysle i po wielu zadanych pytaaniach, odparła.

— Ot... to się nazywa przedyplomatyżować. Niechby się jeszcze o tem pułkownik dowiedział!...

— Ale zarazem... gdyby nie dzisiejsza nocna katastrofa, przyzna ciotka, że klin ten, który wbiłem...

— A tak... tak... pyszny, tylko teraz gotów nas dobić... Jakież to człowiek ten pan... Poltański? — zapytała.

Zdaje się być bardzo sprytnym, sto razy sprytniejszym od Kurskiego.

— Ja wyjdę do niego!

To mówiąc, kasztelanowa rzuciła wejrzenie w lustro, poprawiła czepca i kokardy i wyszła ze mną do salonu, a mi na jej zdradzała nieznany mi dowcip.

— Pan Poltański! — zaprezentowałem gościa, który wypalił całą legendę o stosunkach swych ojców do Derkał etc.

Kasztelanowa z wielkiem mojem zdziwieniem tak zaczęła.

— Nie dziwię się, że panna Kurska, chce wyjść za, ot tu obecnego, kawalera, ale, że chciała wyjść za pułkownika?

Pan Poltański osowiały milczał, a ciotka, po pauzie, mówiła dalej.

— Niczym przeciw temu nie miała, ale wpieryw niechże się poznają... niech...

Zdziwiony wytrzeszczyłem oczy na ciotkę, która widząc, że już otwieram usta, aby przerwać, zrobiła mi rękami znak „dyplomatycznych balansów“ i ciągnęła dalej.

— Zapewne... tak... tak... niech pan odpowie, że mój bratanek zabawi dłużej w Derkałach i sądzę, że jeśli afekta jego...

Bardzo się kasztelanowa jękała, więc jej dopomogłem.

— Ustala się, to...

— To... tak... tak... rzecz może przyjść do skutku. Panna ma być przystojną... a ojciec zamożny.

(Dalszy ciąg nastąpi)



## MOZAIKA LITERACKO-ARTYSTYCZNA.

Peryod omdlenia.—Projekta wystaw artystycznych.—Salon Towarzystwa zachęty sztuk pięknych.—Salon Krywulta.—Spółka malarzy, rzeźbiarzy i architektów.—Ostatnie nowości teatralne.—Niec z literatury.—„Cham“ Orzeszkowej.—„Widma“ Kosiakiewicza.—„Nowelle“ Sarneckiego.

(Dalszy ciąg.)

Bardzo ładny jest — także w salonie Krywulta — mały obrazek Jacka Malczewskiego, zatytułowany „Wiosna, Jesień i Zima“. Przedstawia on głowy młodzieńca, człowieka w średnim wieku i starca, a raczej jedną i tę samą twarz w tych trzech porach życia. Charakterystyka, jaką wiek i życie nadają rysom człowieka w różnych fazach jego ziemskiej pielgrzymki, wybornie pochwyciona w tych małych główkach, malowanych ciepło i smacznie, jak wszystko co z pod pędzla Malczewskiego wychodzi.

Zwracają jeszcze uwagę trzy palety Bohdana Kleczyńskiego, przedstawiające „Zaprzęgi tatarskie“. Zaprzęgi te przypominają mocno uprzęż naszą, a raczej wskazują na jej prawdopodobne pochodzenie. Malowane to ładnie — *c'est le mot* — i z pewną elegancją, konieczną w tego rodzaju produkcjach artystycznych; tylko że moda tych „palet“ zanadto się upowszechnia. Jest to to samo w dziale sztuki, co moda nowel i nowelek w dziale literatury, pod którą to nazwę, mianowicie ostatnią, piszący podciągają dzisiaj wszystko co się nie mieści w ramy powieści a nawet powiastki. Jest to rodzaj nadużycia, gdyż nowela ma swoje warunki i wymagania, których większa część tak nazywanych dzisiaj utworów nie posiada. Obie te mody, zarówno palety jak noweli, wprowadziło lenistwo, bo nie chcemy powiedzieć bezsilność wyobraźni, lękającej się trudu obmyślenia planu poważniejszego utworu.

Spółka malarzy, rzeźbiarzy i architektów warszawskich, powoli ale stale dąży do wytkniętych sobie programem swoim celów. Przeżyła ona pewną wewnętrzną burzę, rodzaj rewolucji, i dziś już wypłynęła na wody spokojne. Obawiamy się czy jej nie braknie dość energicznej do prowadzenia ręki, i czy powołany do życia przez jedyne go dziś członka firmowego komitet artystyczny, nie okaże się mechanizmem zbyt ciężkim. Mimo tego przyznać trzeba tej spółce, że wyrobiła sobie poniekąd dwie specjalności i zajęła dwa stanowiska, które były do zajęcia, a których nikt nie zajmował. Naprzód zasłużyła się sztuce kościelnej przez zajęcie się pośrednictwem między Duchowieństwem oraz świeckimi fundatorami, a artystami i majstrami, wykonawcami robót kościelnych. Dzięki temu pośrednictwu, nie jeden już cenny zabytek sztuki uratowany został od niszczącego dotknięcia rąk niepowołanych; niejedna świątynia na prowincji przyozdobiła się przyrzadami i sprzętami odpowiadającymi zarówno wymaganiom służby Bożej, jak warunkom estetycznym. Na tej drodze spółka gotowa jest do dalszych i szerszych usług, podejmuje się restauracji zarówno obrazów, rzeźb, jak całych świątyń, poręczając za artystyczne i odpowiednie stylowo robót wykonanie. W tym jednym może łączyć, komitet dyrekcyjny może oddać spółce usługę, jako moralna gwarancja wobec stron interesowanych.

Drugą usługę, jaką Spółka oddała nie tyle już właściwej sztuce, co szlachetniejszego pokroju przemysłowi, jest to, że z salonu swego uczyniła nieustającą wystawę sztuki stosowanej, która dotąd tylko dorywczo na różnych wystawach z okazji swemi produkować się mogła. A spółka ten rodzaj sztuki bierze na seryo, nie ograniczając go do malowań na porcelanie, ałasie, skórze i t. d., ale rozciągając go do stolarstwa, ślusarstwa, giserstwa, ramarstwa i t. d., a nawet na te poważniejsze jej działy główną zwracając uwagę. Każdy pracujący w którymkolwiek z tych działów może nietylko wystawić wyrób swój w salonie spółki i tym sposobem łatwiej znaleźć nań nabywcę, ale może zasięgnąć każdej chwili kompetentnej rady i informacji. Takie ułatwienie i taka rada to rzeczy niemałej wagi, które powinny niebawem wpłynąć na postęp przemysłu artystycznego u nas.

W tej chwili zarząd spółki wprowadza w praktykę inny jeszcze kierunek wytknięty w swoim programie, wysłał bowiem pierwszą u nas ruchomą wystawę, do Łodzi.

Twórczość nasza dramatyczna, tak ruchliwa przez jakiś czas, tak żywotna niby pozornie, osłabła także w ostatnich czasach. Fredro zamilkł prawie zupełnie, Bliźniński, oprócz wyborowego obrazka „Ciotka na wydaniu“, napisał tylko „Dziką Różyczkę“ także jednoaktówkę, rzecz podobno śliczną, ale której my nie widzieliśmy i podobno nie zobaczymy; Zalewski wystawił swego „Lisa w Kurniku“, rzecz mającą pewne zalety, ale pochodzeniem swoim należącą

do dawniejszego cyklu jego działalności pisarskiej i nie stojącą na wysokości ostatnich jego utworów; Bałucki ostatnimi czasy obdarzył nas tylko jednoaktówką „O Józio“; o Kozielbrodzkiego ostatnim utworze mówiliśmy już na tam miejscu; Lubowski, śnać zagniewany na teatr i publiczność, nie nie pisze; Sarnecki spoczywa na laurach jako redaktor „Świata“ krakowskiego.

Wymieniliśmy powyżej tych, których przywykliśmy widzieć stale zasilających nasz repertuar, a którzy dzisiaj zależeli pole; inni, sporadycznie zwykle coś do niego dorzucający, nie porzucili swego systemu, i jak dawniej od czasu do czasu ruszą piórem z niechęcią, rzucając ua pastwę scenie efemeryczne płody swojej Muzy teatralnej.

Konkursy dramatyczne mijają bez przyznania komu-bądź wyznaczonej nagrody; teatr nie wiele może przedstawić oryginalnych nowości.

Chcąc cokolwiek nowego z repertoaru nowszych czasów wydobyć, musimy się cofnąć o dwa miesiące w tył po „Dzienniczek Justysi“ Józefa Kościelskiego. Jednoaktówka to także, ale wdzięczna, poetyczna a prawdziwa. Dwoje młodych ludzi, [wychowanych praktycznie, w kierunku realistycznym, i przeznaczonych dla siebie, zakochują się w sobie, naprawdę, gorąco, poetycznie, w niwecz obracając pracę i obliczenia rodziców, którzy ich tylko na podstawie interesu pożenić chcieli. Dzienniczek jej (Justysi), w którym obok rachunków gospodarskich ukazują się pozapisywane różne rzeczy nie mające z niemi żadnego związku, rzeczy, których jej matka wcale nie uczyła, dowodzi jasno, że wszelka szlachetniejsza natura ludzka nie może poprzestać na realizmie, i że wrodzone jej wyższe, poetyczne aspiracje, żadnem wychowaniem stłumić się nie dadzą. Na dzisiejsze czasy, jednoaktówka z sensem moralnym, i to z takim, warta zarejestrowania.

Chyba dla powiększenia cyfry nowości wspomniemy tutaj komedję (?) „Nie mów hop, aż przeskoczysz“ wierszem napisaną przez panią Zofię z Mikorskich Lasocką, jednoaktówkę, w której począwszy od tytułu (pod tym tytułem jest wcale niezła komedjka hr. Wincentego Bobrowskiego) nie ma nic ani nowego ani ciekawego. Ciekawem może być chyba to, jakim sposobem ten grzech sceniczny pani Lasockiej dostał się na scenę teatrów warszawskich.

Wspomniana już wyżej, znów jednoaktówka Bałuckiego „O Józio“, jest fraszką, ale fraszką napisaną zręcznie, piórem wytrawnego komedjopisarza, wesołą, dowcipną i mającą zacięcie satyry obyczajowej. Rzecz idzie oczywiście „o Józio“, ale Józio są dwie: jedna, jakaś tam Józia, z którą miał kiedyś znajomość narzeczony jednej siostry, i Józia, córka kucharki, z którą romansuje mąż drugiej siostry. Dla uratowania zgody i spokoju małżeńskiego, narzeczony bierze obie Józio na siebie, co o mało nie pozbawia go narzeczonej. W końcu mąż, sam się przyznaje do grzechu, ale mu własna żona nie chce wierzyć, w przekonaniu, że on się poświęca dla przyjaciela. Lepiej rozumie rzecz narzeczona, i z ufnością oddaje rączkę narzeczonemu.

Fraszka ta, grana koncertowo przez naszych artystów, tak jak to oni podobne rzeczy grać umieją, podobać się musi nawet wybrednemu widzowi, i stanowi jedną z lepszych rzeczy naszego nowszego repertoaru teatralnego.

(Dokończenie nastąpi.)

## NA POSTERUNKU.

Stało się! — „Nasi znani“ finansisci warszawscy pobici na głowę przez belgów i francuzów. — Co im pozostaje? — Pouczający sens pewnej starej bajeczki. — Co trzeba a czego nie trzeba było robić. — Nowi członkowie „rady“ i dla kogo ta zmiana może być „nieszczęściem“? — Nie obcięty etat osobisty i zagwarantowane pensje emerytalne. — Synekurysci... skompromitowani. — I „Biesiada Literacka“ gnębi p. Lysena. — Kapitałna wada poczciwego pisemka. — Niec o taktie i przyzwoitości. — *Pro domo sua*, w formie króciutkiej prośby, do przyjaciół prawdziwych.

I stało się to, co się stać musiało. Zjechali do Warszawy francuzi i belgowie — i na walnym zgromadzeniu akcyonaryuszów drogi Warsz.-Wiedeńskiej pobili na głowę „naszych znanych“... finansistów warszawskich.

Stało się nieszczęście! — powtarzają sobie ciż „znani finansisci“ i ich przeróżni faworyci — nie wyłączając dziennikarskich. Nieszczęście! — taki złoty, taki brylantowy interes, taką przepiękną dywidendę, takie wygodne pozycje „członków“ po świecie mających swoją pracę, swój czas (na posiadzenia płatne po trzydzieści rubli za godzinę) — wszystko to razem sprzątnęli nam z przed nosa te brzydkie belgi i francuzi!

Aj, aj, nieszczęście! — i co to będzie teraz?

A, — teraz, dobrzy panowie, dzielni obrońcy „interesów



krajowych" i pełni „uczucie obywatelskich“ „podskarbiowie narodu“! — nie pozostaje wam chyba nic innego, jak w skupieniu ducha przypomnieć sobie pewien sens moralny pewnej znanej bajeczki: „miłe złego początki, lecz koniec żaloszny“. Miłaż bo była ta wasza bezwzględna, samowładna, nie licząca się z niczem gospodarka na złotodajnej kolei; miłaż wam była ta gospodarka, prowadzona z dziesiątkiem tysięcy akcji, pozostałych w kraju tak „gorąco“ przez was „umilowanym“, na rachunek *stu piętnastu* tysięcy akcji, wypchniętych — i także przez was — za granicę; — miła wam była, póżtarzom, ta wasza gospodarka, lecz koniec jej, jsk widzicie, „żałosny“, nawet bardzo żaloszny...

Rozpamiętywajcież sobie tedy, panowie finansisci warszawscy, ów sens moralny onej starej bajeczki, a w tych rozmyślaniach pozwólcie i mnie także wziąć udział i przypomnieć to tylko, co *trzeba*, a czego *nie trzeba* było robić, aby ów złoty, brylantowy „interes“ utrzymać w swoim, czy też, jak wy się wyrażacie, w waszym, „swojskim“ (?) ręku. Otóż: trzeba było instytucję tak poważną, jaką jest droga żelazna, i to droga najważniejsza w kraju, prowadzić nie według handlarzko-lichwiarskich nawyków waszych ojców i dziadów, ale według zasad prawdziwie finansowych, na gruncie których mógłby się bardzo łatwo łączyć interes wasz własny z interesem ogółu i z dobrem *całej* służby pracującej uczciwie dla tejże instytucji — i

trzeba było pamiętać, że w przedsiębiorstwach akcyjnych faktycznym panem położenia staje się zawsze ten, kto ma większość akcji. A więc znowu:

nie trzeba było tej większości akcji, i to większości tak ogromnej, wysłać rozmyślnie zagranicę;

nie trzeba było, po wysłaniu akcji zagranicę, prowadzić gospodarstwa kolei z uwzględnianiem jedynie własnych, po za kolejowych interesów, a bez wszelkiego uwzględnienia... praw i interesów akcyonaryuszów zagranicznych, — czyli:

nie trzeba było kapitałów kolei, zamiast na cztery lub pięć procent w bankach obojętnych — lokować na dwa procent w bankach swoich własnych;

nie trzeba było, zamiast po kursie średnim, kupować złota, za pośrednictwem tychże *swoich* banków, po kursie zawsze... najwyższym;

nie trzeba było zażbyt wysokiej... składki ubezpieczeniowej kolei — płacić znowu... *swoim* przedsiębiorstwom asekuracyjnym;

nie trzeba było, dla ułatwienia sobie tych wszystkich... operacji, tworzyć, z krzywdą ogółu służby kolejowej, — oddanego sobie dyrektoryatu, z płacami iście ministerjalnymi;

nie trzeba było, dla swoich faworytów — przypuszczonych, z tych lub innych względów, do „tajemnic wielkich interesów“ — tworzyć wielu innych, grubo płatnych synekur;

nie trzeba było utrzymywać po dziewięciu aż pono „urzędników do szczególnych poruczeń“, ani też tworzyć nowych wydziałów dla „naczelników brygad konduktorskich“;

nie trzeba było, dla zjednania sobie „opinii prasy“, rozdawać znowu... dobrze płatnych synekur literatom i dziennikarzom, zwłaszcza iż, jak się okazało, rycerze ci wasi, moi panowie finansisci, są to niedołęgi, którzy was nawet przed „najazdem“, „inwazyją“, „rozbojem“ etc. belgów oraz francuzów nie potrafili obronić, a skompromitowali jedynie i w tym razie prasę, nic wam nie pomogli.

*Nie trzeba było*, mówię, robić tego wszystkiego, albowiem, przy waszym zwłaszcza, narodowo-plemiennym, „delikatnym rozumie“, można było bardzo łatwo przewidzieć, że akcyonaryusze zagraniczni, wcześniej lub później, spostrzegą się i gospodarkę taką nazwą mianem... właściwem, a mając większość akcji, upomną się o swe prawa, powiedzą: dosyć! — i... odsadzą kota od mleka.

Jakoż stało się tak — i stało się „nieszczęście“. Czy nieszczęście „dla ogółu“, „dla kraju“, jak o tem zapewniali ciż sami panowie finansisci warszawscy i ich płatni, w formie... posadek kolejowych, dziennikarscy obrońcy? Eh, nie — tak źle wcale nie jest i nawet być nie może. Bo i co ogół, co kraj może stracić na tem, że do obecnej rady zarządzającej kolei, zamiast p. p. Nathansona, Rzysszczewskiego, Wołowskiego i innych kandydatów finansistów tutejszych, belgowie i francuzi wprowadzili p. p. Majewskiego, Święcickiego, Luboradzkiego etc.? Co kraj może na tem ucierpieć, że w miejsce holendra (p. Rikoffa) wszedł obecnie francuz, lub że na miejsce zmarłego generała Feichtnera, wstąpił inny członek? Zdaje mi się, że nie.

Więc może ów „najazd belgów i francuzów“, stanie

się nieszczęściem dla ogółu urzędników i oficyalistów kolei? Tak właśnie zapewniali niezależni... synekurzyści „pracujący w dziennikach“ ale i to okazało się najfałszywszym, tendencyjnym alarmem. Nietylko bowiem iż „opryszki“ belgowie i francuzi nie obcięli z przedstawionego im na posiedzeniu etatu osobistego, ani pół kopiejki, ale nadto gdy przysłała pod obrady kwestya gwarantowania funduszami kolei pensyj emerytalnych dla urzędników którzy przesłużyli lat dziesięć, — nie odezwał się z pośród tychże „opryszków“ i „wyzyskiwaczy“ ani jeden głos opozycji. Ciekawa rzecz czyby było tak samo, czyby względem swych pracowników okazali byli tyle dobrej woli nasi finansisci warszawscy, gdyby to od nich jedynie zależało i gdyby nie mieli byli na karku belgów ani francuzów?

Przeto dla kogo mianowicie cała ta walka kolejowa i jej ostateczny rezultat ma spowodować „nieszczęście“? Zdaje mi się, choć przesądzać nic nie chcę, że stało się nieszczęście tylko dla naszych wielkich żydów i dla ich faworytów-synekurzystów, którzy całą tą wrzawą i wielką krucyatą antylsenowską zblażnili się — z przeprowadzeniem — jedynie, nie zrobiwszy nic i nie uratowawszy nawet własnych synekur.

I wcale też niepotrzebnie, do tej niemądrej krucyaty osnutej na... prywacie, wmieszała się „Biesiada Literacka“. Pocziwie to z wielu względów pismko, ma jednak jedną kapitalną wadę. Chciałoby dogodzić wszystkim, a z drugiej strony, niema w wielu rzeczach ogólnych własnego, wyrobionego zdania. Szydzą inni — zwłaszcza też żydki i bezwyznaniowcy — z Boulanger'a nazywając go „lotrem“, „warchołem“ i t. d. za to iż śmiał powiedzieć że nie pozwoliłby nigdy na prześladowanie religii katolickiej we Francji, ani na dalszą gospodarkę żydowską, więc też i pocziwa nasza „Biesiada“, aczkolwiek jest pismem zachowawczem, kpi także z Boulanger'a. Wymyślają inni p. Lysenowi, więc też i ona za drugimi nazywa go, ni ztąd ni zowąd, „spekulantem najzwyczajniejszego gatunku“.

A, kochana, pełna taktu i godności, „Biesiadko“! to nie jest ani taktowne, ani przyzwoite. Lżyć człowieka który dotychczas nie dał się poznać z żadnej strony i który nie dotąd złego „ogółowi“ nie zrobił, lżyć go za to tylko, że włożywszy kapitał w przedsiębiorstwo tutejsze dobrowolnie jemu i jego towarzyszom oddane, chciałby sam tegoż przedsiębiorstwa doglądać, — to chyba nie wypada. Trzebaż było poczekać przynajmniej na jakieś fakta i czyny, trzebaż było poczekać i przekonać się, czy ów p. Lysen chce z swego przedsiębiorstwa ciągnąć zyski godziwe, czy też wprost przeciwnie, i gdyby się ujawniła intencja tego ostatniego rodzaju, wtedy dopiero uderzyć na belgów i francuzów bodajby całą siłą. Tak nakazywał takt, przyzwoitość i prosta zresztą sprawiedliwość. Pocziwa „Biesiadka“ umie te wszystkie piękne rzeczy zalecać pilnie innym, a jednak wlaźła sama w tę, nie mającą w żadnym razie za pół grosza sensu, agitację przeciw rzekomej „inwazyi“ belgów na rzecz inwazyi faktycznej wielkich żydów warszawskich. To wcale niepotrzebne...

Stosunek „Roli“ do swoich abonentów nie jest tak luźnym jak wielu innych. W ogóle zaś „Rola“, między tymi którzy ją znają bliżej, niema obojętnych: są tylko albo zawzięci, nawet zaciekli przeciwnicy, albo serdeczni i prawdziwie życzliwi. Otóż do tych ostatnich w imieniu Redakcyi i w imieniu własnem chciałbym się zwrócić z możliwie krótką prośbą. Przy numerze dzisiejszym znajdziecie w dodatku osobnym, krótką także, zamiast prospektu, odezwę redakcyjną. Raczcież tedy szanowni przyjaciele nasi, zwrócić na dodatek ten bliższą nieco uwagę i postarać się o jego rozpowszechnienie. Może w ten sposób przekona się nie jeden, że „Rola“ nie jest wcale tak czarną jak ją inni znów „przyjaciele“ malują. Przy każdym zwłaszcza terminie kwartalnym ci... inni... „przyjaciele“ nasi biorą się *na coraz nowe* sposoby by nas „zdusić“ i „zławić“ a my się tym szlachetnym intencjom, rok siódmy, opieramy. Pomóżcież nam wytrwać i dalej w tym... uporze, który „Izraelita“ nazwał już wprawdzie nieraz „szatańskim“ i „naprawdę kamiennym“, lecz który jest tylko głęboką wiarą w świętość i doniosłość podjętej przez nas sprawy. Oto i wszystko.

Kamienny.

## Z CAŁEGO ŚWIATA.

Spór kronikarza o cywilizację angielską. — Jubileusz marki pocztowej. — Fatalny telegram londyński. — Handel żonami w Anglii. — Propozycja uczyniona przez kronikarza zwolennikowi cywilizacji angielskiej. — Cywilizacyjna zdolność narodów. — Niemcy i francuzi. — Dwie wystawy. — Uprzejmość paryzka i berlińska. — Admonicya „Norddajczkerki“. — Kto



winię? — Humanitarność wystawy berlińskiej. — Kongresy paryżskie. — Kongres nauczycieli zakładów ociemniałych. — Udział w nim kobiet. — Król Humbert w Berlinie. — Stosunek Austrii. — Podróż wspólna do Strasburga. — Protest prasy francuskiej. — Protest włoski. — Kanclerz niemiecki w umizgach do Windthorsta. — Desperacja nacjonal-liberałów.

— Nie, panie dobrodzieju! daremnie się pan trudzisz; nie przekonasz mnie o wyższości cywilizacji angielskiej nad innemi! Na poparcie swego twierdzenia, przytaczasz pan, między innymi, że Anglia pierwsza wprowadziła marki pocztowe, i że właśnie d. 15 b. m. marka angielska 1-no pennowa obchodziła 50-cio letni jubileusz swego istnienia. Kładziesz pan nacisk na to, że ówczesna izba gmin uchwaliła tę innowację mimo rozpaczliwych protestów ówczesnego pocztmistrza generalnego, który w zaprowadzeniu marek i do tego tak tanich, upatrywał niechybne bankructwo instytucji pocztowej. Wykazujesz mi cyframi błogie skutki, jakie z tej uchwały wynikły; powiadasz, że poczta angielska, która w roku 1839 miała wszystkich ogółem przesyłek 88,600,000 sztuk, w roku 1889 przewiozła już 1,512,000,000 listów, 188,000,000 kart korespondencyjnych i 389,500,000 paczek. Wszystko to dobrze; ale choćbyśmy nawet nie wiem jak wysokie znaczenie cywilizacyjne przyznawali wzrostowi przesyłek pocztowych, to czegoż to dowodzi? Cyba tego, że Anglia od lat 50 fatalnie cofnęła się w cywilizacji, i że jej izba gmin dzisiejsza ani się umywa do takiejże izby z r. 1839.

Nie wierzysz pan dobrodzieju? Ano, to proszę, bardzo proszę, racz przeczytać poniższy telegram, którego ja przecież z palca nie wysłałem, tylko znalazłem go czarno na białym wydrukowany we wszystkich dziennikach. Czytaj pan:

*Londyn 22 Maja.* Izba gmin, 108 głosami przeciw 23, odrzuciła bil nadający kobietom prawo zasiadania w radach hrabstw...

A co, panie dobrodzieju, czy i teraz będziesz pan jeszcze gardłował za cywilizacją angielską? Czy taką herezję przeciw nieprzedawnionym (oczywiście: ponieważ ich nie było, więc się przedawnić nie mogły) prawom kobiety, poczytasz pan za jej zaletę charakterystyczną?... Co prawda, w żadnym jeszcze z parlamentów europejskich nie zapadła uchwała w tym przedmiocie, to atoli jedynie dlatego, że nikt jeszcze nigdzie takiego bilu nie wniósł; ale niechoby wniósł! widzielibyśmy, czyby się kto przeciw niemu głosować ośmielił.

Dzięki Bogu, na kontynencie mężczyźni znają mores przed płcią piękną, i podobnie barbarzyńska uchwała mogła zapaść jedynie w tej dzikiej Anglii — powtarzam w *dzikiej Anglii*; w tej Anglii, w której — słuchaj pan dobrodzieju, proszę — w której do dziś dnia kwitnie handel... żonami!!!...

Aha! zbladłeś pan ze złości? Poczekaj, zbledniesz jeszcze bardziej z bezsilności, gdy ci oczy faktem wyklują! Nie dawniej jak przed paru tygodniami, jeden z wybitniejszych członków „armii zbawienia“, zamieszkały we wsi Hucknall Torkard, w okolicach Sheffieldu, sprzedał przyjacielowi własną żonę za szylinga i *antiquo more* zaprowadził ją na postrońku do domu jej nabywcy!...

Mnie skóra cierpnie, kiedy to piszę, pióro mi się w palcach wykręca, ale cóż, muszę, żeby pana dobrodzieja przekonać.

Przepraszam, czy pan dobrodzieju żonaty?... Tak?... No, to jeżeli pan nie jesteś w stanie ocenić sam z siebie całej ohydy podobnego postępowania, jeżeli nie masz o niej wyobrażenia *a priori*, to bądź łaskaw, spróbuj sprzedać swoją magnifikę — notabene, jeśli ona nie chce być sprzedaną, — a zobaczysz jak rychło nabierzesz tego przekonania *a posteriori*, i raz na zawsze dasz za wygraną swoim uprzedzeniom o cywilizacji angielskiej.

Życzę szczęśliwej próby! do widzenia!

Dziwna bo to rzecz ta cywilizacja! Są ludy, które lgną do niej odrazu, na poczekaniu prawie, i tak nią potem przesiąkają, że nawet ciężkie przejścia i upadki odjąć im jej blasku nie mogą. Są znów inne, które tak się jakoś do niej nie nadają, tak się biorą do niej niezręcznie, że właśnie w chwili gdy im się zdaje, że nią już całkiem zawładnęli, że stali się jej panami, wiecznie barbarzyński grunt ich istoty najbardziej wychodzi na wierzch. Weźmy naprzykład Niemców i Francuzów.

Niemcy, pokonawszy Francję i wydarszy jej pięć miliardów, myśleli, że wraz z jej krwią i pieniędzmi, połknęli i jej cywilizację. Sama ta myśl tak ich poczęła rozdymać, że o mało nie pękali, jak owa żaba „widząc wółu z pięknym wzrostem“; pozwali na prowadzyców całego świata cywilizowanego. Ale szydło przy lada okazji musi zawsze wyleźć z worka. Tak się i tu stało z okazji dwóch jednoczesnych wystaw: w Paryżu i Berlinie. Jak dobre wychowanie czło-

wieka, tak gruntowna cywilizacja narodu najlepiej ujawnia się w przyjęciu gości, w pojęciu obowiązków gospodarza. Otóż zarówno Paryż jak Berlin mają obecnie swoich gości na swoich wystawach; ale podczas gdy francuzi przesadzają się w grzeczności, okazują niesłychaną uprzejmość nawet dla Niemców, Niemcy okazują się gburami dla własnych swoich ziomków i zagranicznych przybyszów. Idzie to tak daleko, że „*Nordeutsche allg. Ztg.*“ uznała za potrzebne publicznie skarcić grubiaństwo zarządu swojej wystawy i postawić im za wzór francuzów. Szanowny organ księcia Bismarka ma rację i niema racji. Ma rację że chłopsze niegrzeczność; ale niema racji że za nią chłopsze uczniów nie nauczyciela. Zapomina, że naród wychowany przez wyznawcę zasady: „siła przed prawem“, nie może przecie mieć nic wspólnego z prawdziwą cywilizacją, która jest streszczeniem wszystkich najlepszych, najzacniejszych pierwiastków ludzkiej natury, a więc dobra, piękna, prawdy i sprawiedliwości. Toć żadna z tych rzeczy w parze z gwałtem nie chodzi!...

Niemcy swoją wystawą chcieli zrobić konkurencyę wystawie paryżskiej, i zaimponować światu humanitarnością celu; wystawa bowiem berlińska jest ekspozycją różnych przyrządów, służących do zmniejszenia niebezpieczeństw grożących robotnikom w rozmaitych gałęziach przemysłu; ale czemże to jest w porównaniu z tą masą kongresów, w najróżnorodniejszych kwestjach naukowych, ekonomicznych i społecznych, które się w Paryżu obok wystawy odbywają?

Między innymi na porządku dziennym stoi kongres nauczycieli zakładów dla ociemniałych, którego zadaniem będzie porozumieć się wspólnie co do nowych środków ulżenia ciężaru życia i umilenia go tym najniezwyklejszym z kalek, dla których ludzkość w ostatnich czasach w prawdzie bardzo wiele zrobiła, ale którym nic nie jest w stanie wynagrodzić krzywdy, jaką im macoszy, niestety, los wyrządził. Z wielką radością i uznaniem wyczytałem w pismach francuzkich, że w kongresie tym wezmą udział i kobiety. W sprawkach, w których serce przewodniczyć winno rozumowi, kobieta jest na swoim miejscu nietylko w gronie radzących, ale nawet na krześle prezydyalnym!

Berlin sam już nie wie co robić, żeby godnie uczcić bawiącego w jego murach króla Humberta. Parady, przeglądy wojskowe, obiady, przedstawienia teatralne, przejażdżki idą po sobie bez przerwy, a takie ich mnóstwo, że się śnać pomieścić nie mogły w pierwotnie zakreślonym terminie, i król Humbert pobyt swój w stolicy Niemiec przedłużył do niedzieli.

Najciekawszym z tego wszystkiego pozostaje zawsze stosunek Austrii, a to tem bardziej, że podczas gdy dzienniki francuskie utrzymują stanowczo iż w serdecznościach berlińskich Austrii zupełnie została wypuszczona za nawias, wiedeńskie źródła twierdzą, że wszystko co się dzieje w Berlinie, dzieje się z wiedzą i za zgodą Austrii.

Serdeczności włosko-niemieckie miały się nie skończyć na samym Berlinie; król Humbert, w powrocie, miał odprawić aż do Strasburga, udającego się do Alzacji, cesarza Wilhelma. Ale gdy prasa francuska huknęła jednym chórem na takie brutalne a bezmyślne drażnienie uczuć Francji; na czarną niewdzięczność za oswobodzenie Włoch z jarzma austriackiego; gdy z samych Włoch nadeszły depeche donoszące o najwyższym oburzeniu opinii publicznej przeciw tej podróży, grożące bodaj zbrojnym protestem przeciw temu pomiataniu wszelkimi względami dla bratniego narodu, król Humbert zaniechał powziętego zamiaru, mimo usilnych nalegań ze strony cesarza Wilhelma.

Książę Bismark w umizgach do Windthorsta! Czy można sobie coś... oryginalniejszego pomyśleć?... A jednak tak jest w rzeczywistości. Książę kanclerz, który obecnie zachowawców wybrał na swoją falangę, uznał, iż katolickie centrum będzie daleko przyzwoitszym i sympatyczniejszym dla zachowawców aliantem, aniżeli bezwyznaniowe nacjonal-liberały, i na wydanym przez siebie rancie niezmiernie przyjemnym był dla najzaciejszego do niedawna z przeciwników swoich, dla Windthorsta. Czego to nie dokazuje ta polityka!

W obozie nacjonal-liberałów popłoch, płacz i zgrzytanie zębów, które doszły do szczytu, gdy się dowiedziano, że Schorlemer-Alst, jeden także ze znanych przywódców centrum, ma zostać prezydentem prowincji westfalskiej mianowany.

E. Jerzyna.



## KRONIKA BIEŻĄCA

### Krajowa i Zagraniczna.

**Kościoty.** O uroczystości, odbywającej się corocznie w katedrze plockiej, w dzień Ś-go Zygmunta, „Biesiada literacka” pomieszcza następującą notatkę:

„Relikwiarz mieszczący głowę Ś-go Zygmunta jest jedną z najcenniejszych ozdób skarbcza Katedry plockiej, która też corocznie, w dzień tego świętego, 2-go Maja, obchodzi uroczyste święto kościelne. I w roku bieżącym J. E. ks. Biskup Kossowski, po odbytej procesji w starożytnej świątyni, odprawił sumę z wystawieniem Najświętszego Sakramentu, w asystencji duchowieństwa. Drogocenna relikwia ustawioną była wśród jarzącego światła, obok wielkiego ołtarza, a po nabożeństwie udzielano jej do całowania ciszącym się tłumom. Katedra nie mogła pomieścić rzeszy pobożnych; wielu modliło się na cmentarzu.”

Przy budowie nowego kościoła na Pradze pracuje obecnie 10-ciu malarzy i 15-tu ich pomocników. Roboty prowadzone obecnie należą do rzędu tych, których nie można uskutecznić większą liczbą robotników.

Roboty zewnętrzne około przebudowy kościoła Ś-go Aleksandra w Warszawie zostały rozpoczęte. W ścianie okalającej świątynię, pobudowane zostaną wyłomy i na ośmiu filarach spoczywać będzie kopuła, ponad którą wzniesioną zostanie tak zwana kopuła dekoracyjna, na 30 łokci wysoka. Nabożeństwa w nowej części kościoła odbywać się zaczęła po Zielonych Świątkach.

W Kalusznynie, rozpoczęcie się już wkrótce budowa nowego kościoła w stylu włoskim. Budowa świątyni prowadzoną będzie pod kierunkiem znanego architekta z Warszawy, p. Dziekońskiego.

**Dla ziemian.** Ważną nader wiadomość podały ostatniemi czasy dzienniki petersburskie. Oto ministerjum dóbr państwa opracowało ustawę stowarzyszeń *wzajemnej asekuracji* dla rolników. Może więc nareszcie przyjdzie ta chwila pożądana, w której ziemianie nasi będą mogli podziękować dzisiejszym asekuracyjnym przedsiębiorstwom akcyjnym za ich dalszą opiekę i wszelkie dobrodziejstwa ubezpieczeniowe.

**Zaprzeczenie z Banku włościańskiego.** „Warsz. Dniownik” otrzymał od prezesa piotrkowskiego oddziału Banku włościańskiego, p. Tępiłowa, komunikat zawierający zaprzeczenie wszelkim pogłoskom dotyczącym owej wielkiej liczby posiadaczy ziemskich, którzy jakoby zgłosili się do oddziału, objawiając gotowość sprzedaży włościanom ziemi za pośrednictwem Banku. Wszystkie te wiadomości nie mają najmniejszej podstawy. Czynności Banku jeszcze się nie rozpoczęły, i dlatego też za wczesnym jest jeszcze i gwałtownym podawanie do wiadomości liczby powyższych ofert ustnych, a tembardziej liczenie ich na setki. Dotychczas nie zrobiono jeszcze żadnej transakcji piśmiennej, a takie tylko transakcje uważane być mogą za zupełnie podstawne. W zakresie bowiem działalności Banku włościańskiego nie leży bynajmniej działalność komisyonerska.

**Wymowne.** „Tydzień” piotrkowski, zebrałszy dane cyfrowe „O handlu zbożowym w powiecie Piotrkowskim i Łaskim”, przychodzi, na podstawie tychże danych, do wniosku, że same zboża ozime mogłyby zapewnić rolnikom wspomnianych dwóch powiatów około 1,000,000 rubli, gdyby umieli obchodzić się bez pośrednictwa żydów, którzy zyski producentów obniżają przynajmniej o 15%. Chyba to dość wymowny i pouczający komentarz do poigrzebanej własnymi rękami ziemian — sprawy spółek rolniczo-handlowych.

**Z burzliwego posiedzenia.** Odbyte w dniu 24 z. m., ogólne zebranie akcyonaryuszów drogi Warszawsko-Wiedeńskiej, jak o tem zresztą wiadomo już z dzienników, było nader burzliwym. Ścierały się tam dwa prądy dwóch partji finansowych. Z jednej strony wystąpili belgowie i francuzi, — z drugiej „najwybitniejsi” warszawscy władcy rubla. Naturalnie, ponieważ belgowie i francuzi mieli większość akcyj, przeto łatwo można było przewidzieć, że odniosą oni zwycięstwo. Jakoż odnieśli je w zupełności, przy czem skorzystali odrazu i pracownicy kolei, kwestya bowiem zagwarantowania pensyj emerytalnych dla urzędników, którzy przesłużyli lat dziesięć, została jednomyślnie, w duchu przychylnym, zadecydowana. Sprawa to dla wielu pracowników kolei nadzwyczaj ważna i żywotna, a kto wie czy byłaby ona przeszła pomyślnie, gdyby właśnie nie owa walka akcyonaryuszów zagranicznych z finansistami warszawskimi. Również bez opozycji, zatwierdzonym został etat osobisty kolei — i jedynie kwestya wyznaczenia dywidendy w stosunku 13%, jak również i kwestya konwersyi 5% obligacyj na 4%. — jako wymagające większości  $\frac{3}{4}$  głosów, odłożone zostały do następnego zebrania, które ma się odbyć wkrótce, a na którym obydwie te sprawy zadecydowane zostaną prostą już większością głosów.

Rezultat wyborów wypadł również według życzenia belgów, a rezultat ten okazał się następującym. W miesiące wychodzących z rady p. p. Lucyana Wrotnowskiego, Stefana ks. Lubomirskiego

i d-ra Rikoffa (bolendra), oraz w miejsce zmarłego generała Feichtnera i p. St. Wołowskiego zastępującego p. Stanisława Kronenberga, — wybrani zostali p. p.: Karol Majewski, tajny radca, inżynier-budowniczy, H. Święcicki, b. dyrektor kolei Nowogrodzkiej, Guilot, inżynier (francuz), Gołwin, szambelan Dworu, i Konrad Luboradzki, dotychczasowy zastępca w radzie p. Lysena. Kandydatami finansistów warszawskich byli p. p.: Wrotnowski, St. ks. Lubomirski, Józef Nathansohn, hr. Ryszczewski zięć p. Epsteina, wreszcie p. Stanisław Wołowski — i ci wszyscy przepadli.

Posiedzenie było nietylko, jak wspomnieliśmy, wielce burzliwe, ale i z wielu względów ciekawe. Najciekawszymi wszakże były pełne zwrotów „w duchu obywatelskim” mowy tutejszych... patryotyków żydowskich. Panowie ci są posiadaczami przeróżnych akcyj zagranicznych, nie wyłączając hiszpańskich, ani portugalskich. Woleli oni widocznie zakupywać te akcje obce, niż akcje drogi Wiedeńskiej, które pilno im było po wysokim kursie wypchnąć zagranicę. Mimo to przecież dziś, gdy przyszło do rozprawy z belgami, ciż sami panowie finansisci wołają: my chcemy działać „dla dobra ogółu!” my występujemy „w obronie interesów krajowych!” I doprawdy jest to nietylko komiczne ale obrzydliwe i wstrętne, gdy tacy przeróżni Dawidowie, którzy z przyjemnością to „bratnie społeczeństwo” i ten swój „kraj rodzinny” obdarliby z ostatniej, połatanej koszuli i ze skóry nawet, — ilekroć razy idzie im o własne interesa lub też o obronę tychże interesów zachwianych... wynurzają się zawsze ze swym patryotyzmem i ze swojemi „uczuciami obywatelskimi”. Tylko na szczęście „bracia polacy”, acz po szkodzie, jak zwykle, przechodząc powoli do rozumu, wiedzą już, że ów patryotyzm i owe uczucia obywatelskie „braci moźeszowych” służą jedynie za wygodny płaszcz do osłaniania własnych, nieraz bardzo nawet brudnych, geszeftów. Tak, tak panowie „podskarbiowie narodu” — nie ludźcie się! — i Polak, wiecznie, jak go nazywacie, „głupim” zostać nie może, — wie on już nareszcie coś o tem, że te wasze „uczucia” nie warte są nietylko rubla, ale nawet złamanego szeląga.

**Wyklinanie sklepów chrześcijańskich.** „Gazeta Radomska” doniosła, a za nią powtórzyły niektóre inne pisma, że po otwarciu sklepu chrześcijańskiego w Bzinie, założonego tam przez urzędników kolei Iwangrodzko-Dąbrowskiej, przybył nazajutrz rabin i — na sklep rzucił kłatwę. Nie jest to bynajmniej fakt wyjątkowy, ani osobliwy, gdyż, o ile wiemy, na wszystkie wogóle sklepy chrześcijańskie spadają takie same kłatwy. Sklepom tym, rozwijającym się coraz lepiej i powstającym coraz gęściej, nie naturalnie owo wyklinanie nie szkodzi, ale czy pomogą co żydom takie objawy ich zuchwalstwa? Wątpimy.

**Z prasy.** „Przegląd Katolicki”, w ostatnim swym numerze, karci słusznie bardzo wybryki, jakich się dopuszczają w swych piśminkach nasi „publicyści” kuryerkowi — z okazji „wielkiego święta” stułetniej rocznicy rewolucyi francuzkiej. Najbuńczuczniej, chociaż i najmniej mądrej, jak zwykle, z powodu tegoż „święta”, przemówił w „Kuryerku Codziennym” jego „dyrektor polityczny”, pan Ol..., a „Przegląd Katolicki”, schłostawszy jak należy to pełne absurdów wystąpienie brukowego statysty i polityka (!) — kończy swą admonicyę, następującą, godną ze wszzech miar powtórzenia, uwagą:

„Gdyby — pisze „Przegląd” — pan Ol... (któremu wydało się w chwili „pewnego rodzaju halucynacji” że „był w Paryżu” i stapał tam po ulicach „wiorstowemi krokami”) zamiast wiorstowych butów na nogi, wzięł do serca i do umysłu najelementarniejsze zasady nauki chrześcijańskiej, dałby czytelnikom swoim nierównie dojrzałszy sąd o rewolucyi francuzkiej i o lekarstwie na społeczne niedomagania. Uczylby ich, że nie mordem, ale wewnętrznym odrodzeniem moralnym leczą i uzdrawiają się narody i że rocznice kainowe nie w weselu, ale jeżeli nie w zapomnieniu, to w żalobie obchodzić należy.”

**Przyjazd Szacha.** W ubiegły Poniedziałek, przybył do Warszawy Szach perski i bawi obecnie w mieście naszym.

**Z teatru i muzyki.** Podobno istnieje zamiar wystawienia w Warszawie opery Verdiego p. t. „Moc przeznaczenia”.

W teatrze Małym ma być przedstawioną komedia Barrière'a p. t. „Trzpiotka”.

Konkurs warszawskiej „Lutni” na pieśni litewskie, z powodu nienadania utworów, przedłużonym został do dnia 1-go Listopada r. b.

**Zmarli:** Ś. p. ks. Wojciech Wyszynski, proboszcz parafii Powisin, w pobliżu Willanowa, w dekanacie warszawskim. Ś. p. ks. Wyszynski, powracając od chorego, któremu udzielał ostatniej pociechy religijnej, uległ smutnemu wypadkowi przewrócenia się bryczki i to go przyprawiło o śmierć; śmiało też powiedzieć można, że zmarły kapłan legł jak żołnierz, na stanowisku. Cześć jego pamięci!

### Odpowiedzi Redakcyi.

Sz. ks. kan. P... w L... — Otrzymałmy, i życzenie Szanownego Księdza Kanonika spełnimy najchętniej. Za słowa pełne życzliwości dla „Roli”, szczerze wdzięczni jesteśmy.

Sz. ks. A. Kassyanowicz — Odpowiemy wkrótce listownie. Rekla-



mację Szanownego Księdza Dobrodzieja zakomunikowaliśmy redakcyi pisma, które w swoim czasie zostało zaprenumerowane i na co mamy dowód w książce pokwitowań.

Pani Aniela M... w Mik... — Poprzedniego listu nie otrzymaliśmy. Rękopis wysłany w tych dniach. Za korespondencję dziękujemy uprzejmie.

Panu St. Kur... w Warsz... — Sądźmy, że po „wyjaśnieniu“ w numerze dzisiejszym, nie będzie już sz. pan miał wątpliwości najmniejszej. Gdyby jednak było przeciwnie, w takim razie racz sz. pan zwrócić jeszcze uwagę na zachowanie się w sprawie kolei Warsz. Wied. np. „Wiek“, „Dziennika dla Wszystkich“, „Ziarna“, oraz paru pism innych, których ani redaktorowie ani współpracownicy nie są osobście w sprawie tej zainteresowani i gdzie też traktowaną jest ona w sposób najzupełniej bezstronny, a przyzwolity. Natomiast „Słowo“, „Kuryer Codzienny“, „Gazeta Polska“ i „Kuryer Warszawski“, których redaktorowie lub też współpracownicy mają na kolei Wiedeńskiej „posadki“, przynoszące im po tysiąc, albo nawet i po parę tysięcy rubli rocznie, wymyślają na belgów i hałasują najwięcej, wiedząc, że przy zaprowadzeniu oszczędności racjonalnych te ich właśnie posadki będą zniesionemi. Ale, jak słusznie zauważył jeden z tygodników, nie należących do kliki, jeżeli p. Lysen, czy ktokolwiek inny to robi, to jest te „posadki“... literackie skasuje, — „okazuje wielką usługę prasie; dotychczas bowiem wszyscy ci panowie (synekurzyści) zapewniają, że dziennikarstwo nasze jest „nie-skazitelne“ i przekupić się nie daje — lepiej więc wcale nie wodzić go na pokuszenie“.

P. Br. Korp... w Warsz... — Jeszcze musieliśmy odłożyć do numeru przyszłego.

Pani Bł... w K... — Nic na to, niestety, poradzić nie możemy

## NADESŁANE.

Do powiększenia interesu przemysłowego potrzebna spółniczka lub spółnik z kapitałem od 3-ch do 5-ciu tysięcy rs. Wiadomość w Redakcyi „Roli“, Nowy-Swiat № 4.

## OGŁOSZENIA.

Fabryka Narzędzi Chirurgicznych i wszelkich stalowych ostrych, oraz Bandaży

**I. Jodłowskiego**

Bieleńska Nr. 5. — Filja: Marszałkowska Nr. 137

(9-ty dom od ogrodu).

poleca wielki wybór narzędzi chirurgicznych, weterynaryjnych i nożowniczych — oraz przyjmuje wszelkie obstalunki i reperacje po cenach najumiarkowańszych. (243-52-22)

**Główny Skład Dywanów**

**GIEŁZYŃSKIEGO PIOTRA**, ulica Marszałkowska Nr. 137

(10-ty dom od ogrodu),

poleca w wielkim wyborze: Dywany najrozmaitsze, Serwety, Chodniki-Kaldry, Dery i t. p. JUTY i WEŁNY na pokrycia meblowe, Kretony Fabryki „Zawiercie“. Ceny fabryczne. PP. Handlującym rabat.

FABRYKA i MAGAZYN

**WSZELKICH PRZYBORÓW DO PODRÓŻY**  
KONNEJ JAZDY I POLOWANIA

**T. L. BREYMEYER**, — Warszawa

Królewska Nr. 1, róg Krakows.-Przedm.

Kufry — Walizy — Torby — Sakwojaze

Plaszcze gumowe — Buty filcowe

Kurtki — Plaszcze i Spodnie skórzane

Torby myśliwskie — Futerały na broń

Portmonetki — Pugilaresy — Portelgary — Woreczki i t. p.

Wszelkie reperacje uskuteczniają się szybko i dobrze.

**FABRYKA DZWONÓW**  
**KOŚCIELNYCH**

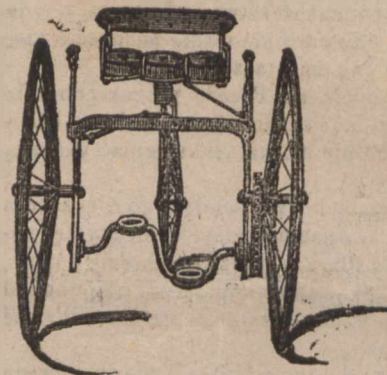
**A. Zwolińskiego**

w Warszawie, ulica Gęsia Nr. 79,

**NAGRODZONA MEDALEM.**

odlewa dzwony kościelne, od najmniejszych  $\frac{1}{8}$ , do największych rozmiarów, po możliwie niskiej cenie. Przelewa stare, lub przyjmuje wzamian na nowe. Okuwa nowym systemem, przy którym 10-letni chłopiec może z łatwością dzwonem największych rozmiarów poruszać.

ZAKŁAD PSZCZELNICZY  
i Fabryka Narzędzi Pszczelarskich  
**E. W. ESTREICHA**  
Warszawa, rogatka Belwederska wprost Promenady,  
poleca:  
Ule, Centrifugi, Węzy sztuczne, Blachy odgradowe.  
Cennik na żądanie wysyła bezpłatnie.



Oryginalne Angielskie  
**Velocypedy**

pierwszorządnych fabryk:  
Th. Smith and Sons — Metropolitan Machinist. Com. i innych, osobiście zakupione — po cenach nader niskich — oraz Wózki i Velocypedy dzieciinne, z kołami kauczukowymi lub bez —

poleca

Pierwsza Specjalna Fabryka Wózków i Velocypedów

DZIECIŃNYCH (353-6-2)

**E. HERZMAN**

Ulica Kaliksta 15

Obok Klubu Cyklistów.

Cenniki ilustrowane — na żądanie.

ISTNIEJĄCA OD ROKU 1853  
**Fabryka Mydeł i Swiec**  
**L. J. STENTZEL**  
sprzedaż hurtowa i detaliczna  
w domu przy ulicy Solnej Nr. 14.  
(334-5-4)

**FABRYKA**  
**ALBUMINU**  
W TARGÓWKU POD WARSZAWĄ

Poczta Praga

Poleca nawóz ze krwi bydłowej, zawierający najsilniejsze pierwiastki azotu. Od lat 18 fabryka wyrabia do 900 pudów miesięcznie za granicę.

Cena puda franco Warszawa rs. 1 kop. 40. Worek kop. 15.

Zamówienia za nadaniem należności lub zadatku (reszta za zaliczeniem pocztowym) uskutecznią bezzwłocznie. (356-10-2)

**SKŁAD MEBLI** 332-13 5  
**MAJSTRÓW STOLARSKICH**  
W WARSZAWIE  
przy ulicy Marszałkowskiej i róg Zielonego Placu № 60  
(nowy 150)  
NA PIERWSZYM PIĘTRZE



**Do mycia owiec sposób australski**

najnowszy środek do racjonalnego mycia wełny, co znacznie podnosi wartość takowej. Otrzymaliśmy na skład

**A U S T R A L - M U T T O N - S O A P**

cena 100 f. rs. 9,50 na sztukę 1/2 f.

Sposób użycia wraz z próbami przesyłamy gratis franco. Obsta-  
lunki wysyłamy przy otrzymaniu należności lub za zaliczeniem.

**L. Mierosławski et C<sup>o</sup>**  
ELEKTORALNA Nr. 5.

(352-3-3)

**Letnia kuracya****KEFIREM I KUMYSEM**

w Ogrodzie Saskim, we własnym moim pawilonie, otwartym od  
godziny 6 rano do 8 wieczór. Zakład mój zaopatrzony stale co-  
dziennie w świeży Kefir i zdrowe grzybki kefirowe.

Dla Zakładów Dobroczynnych i niezdolnych Kefir za pół  
ceny.

Właścicielka Zakładu Kefiru leczniczego  
**KLAUDYA SIGALINA.**

(348-6-4)

# ODEZWA B. KORPACZEWSKIEGO ZAKŁAD POGRZEBOWY w Warszawie, Nowy-Świat 38/1301.

Jako niegdyś inicjator i założyciel pod moją firmą za-  
kładu pogrzebowego w Warszawie — po 18 latach doświad-  
czenia, poznaniu sposobu zapatrywań różnych sfer publiki—  
zamierzam dziś spunktować w krótkości pożyteczność usłu-  
gi, jaką nieść może tego rodzaju przedsiębiorstwo, właściwe  
granice mające:

1). Zakład pogrzebowy przez postawienie anszlagu  
kosztów pogrzebowych z góry, ułatwia oryentowanie się  
w możliwości wydatków, a tym samym w powziętej ostenta-  
cji i sprowadzeniu jej do zakresu owej możliwości i poglądu  
pozostałych z rodziny.

2). Oswabadza członków rodziny, lub związanych  
z nią, od odpowiedzialności i pewnych zbroczeń, któreby nie  
mogły być usprawiedliwione zakładowi pogrzebowemu.

3). Zakład pogrzebowy, jako obojętniejszy, niż dot-  
knięci strata, może doradzać czasami nawet narzucać, — po  
zrozumieniu sytuacji—swoje zamiary i wypośredkować spo-  
sób załatwienia smutnego obrzędu bez narażenia zasobności  
i życzeń najbliższych.

4). Zarobek zakładu pogrzebowego, nie zawsze wpra-  
wdzie, ale przeważnie, może być skromniejszy, niż skompli-  
kowane straty: za rozjazdy, zawody, błędy popełniane przez  
osoby skłonne do przyjęcia usług przyjacielskich.

5). Zakład pogrzebowy mając stałe i ciągłe stosunki  
z pojedynczymi firmami obniża koszty. Przypadkowe bowiem,  
lub jednorazowe zetknięcia się muszą drożej wynosić.

6). W skomplikowanych nawet rodzinnych poglądach,  
w pierwszych formalnościach prawnych spadkowych, zakład  
pogrzebowy może nieść rzetelne objaśnienia jeżeli umysł  
przewodnika firmy sięga wyżej, niż zysk.

7). Umiejtność w obejściu się z otoczeniem wpływa  
dodatnio i na smutny obrzęd, i na złagodzenie postronnych,  
przybocznych żądań, lub życzeń jednostek.

8). W każdym powyższym i innym razie zakład po-  
grzebowy tak reprezentowany i pojęty może służyć korzyst-  
nie publice, choć coś zarabia. Tak pojmowałem tego rodzaju  
usługi i tak wieść je starałem się przez wszystkie lata. Taki  
ton pragnąłbym utrzymać i wyrobić ogólniejsze pojęcie  
u publiki.

**Zakład mój pogrzebowy — obok zajęcia się całością lub częścią urzędzeń  
pogrzebowych — posiada wielki skład trumien metalowych, dębowych i innych od  
najtańszych do najdroższych, żałoby, dekoracje kwiatowe, wieńce, klepsydry,  
listy i t. p. potrzeby, przybory pojedynczo sprzedaje, groby muruje, ekshumuje  
i przewozi zwłoki; wogóle wszystko zawsze otrzymać można.**

Właściciel zakładu pogrzebowego Magister nauk fil. historycznych.

## B. KORPACZEWSKI.

(359-1-1)

**Zabezpieczenie bytu rodziny na wypadek śmierci ojca,**

**Zabezpieczenie utrzymania w wieku podeszłym,**

**Zabezpieczenie własnego bytu na starość, a równocześnie rodziny na  
wypadek śmierci,**

**Zabezpieczenie posagu dzieciom nawet na wypadek wcześniejszej śmier-  
ojca lub opiekuna**

osiągnąć można drobnymi oszczędnościami składanymi jako premie  
w istniejącem od 1858 roku

### ST-PETERSBURSKIEM TOWARZYSTWIE UBEZPIECZEŃ OD OGNIA I NA ŻYCIE.

**Przykład.** Osoba 30-letnia, płacąc rocznie po 229 rs. premii, ubezpiecza dla spadkobierców  
rs. 10,000, płatne natychmiast po jej śmierci, lub też płacąc rocznej premii po rs.  
311, otrzyma sama, w 60 roku życia, rs. 10,000, w razie zaś wcześniejszej śmierci, całkowity kapi-  
tał (10,000 rs.) będzie natychmiast wypłaconym spadkobiercom.

**UWAGA.** Premie powyższe zmniejszane będą, poczynawszy od 5 roku (t. j. po 4 latach)  
ubezpieczenia, o udział w zyskach Towarzystwa.

Bliższych objaśnień udziela

**Jeneralna Ajentura na Królestwo Polskie  
Warszawa, Zielony Plac Nr. 13.**

oraz ajenci we wszystkich gubernialnych i powiatowych miastach.

361-4-1



## KREDENS DĘBOWY

duży, w stylu renaissance — oraz inne Kredensy, Szafy, Łóżka i tym podobne Meble sprzedaje się po umiarkowanej cenie

w FABRYCE MEBLI

### JANA DRZYMULSKIEGO

Grzybowska 41.

360-10-2

Pracownia Artystyczno-Rzeźbiarska  
w Drzewie

## Antoniego Panasinka

w Warszawie, Aleja Jerozolimska Nr. 80.

Wykonuje Figury i wszelkie ozdoby kościelne, rzeźby do mebli, modele do odlewu, rami i t. p. Posiada gotowe Krucyfiks, Feretrony, Rezurekcyje i t. p. (293-6-6)

225-52-7

## FELIKS ZARĘBA

W WARSZAWIE

ulica Miodowa Nr. 8.

Posiada znaczny zapas Obuwia  
Damskiego, Męskiego i Dziecinnego.

Przyjmuje wszelkie obstalunki.  
Ceny przystępne — za dobroć poręcza.



Wystawa przemysłowo-roln. w r. 1885.  
DYPLOM UZNANIA.

ISTNIEJĄCY OD 1862 ROKU  
MAGAZYN MEBLI

## ZJEDNOCZONYCH STOLARZÓW

w Warszawie, Tłomackie Nr. 6, — były Hotel Wileński.

Poleca umeblowanie pokoi jadalnych, sypialnych, salonów, i posiada meble od najwykwintniejszych do najkonieczniejszej potrzeby, po cenach możliwie niskich, także wszelkie roboty tapicerskie i dekoracyjne, podług najawiejszych żurnali (253-13-9)

## NA CZASIE.

278-52-6

Broszurkę 80 str. druku z ważnym dodatkiem, niezbędną dla każdego z p. p. budujących, wyśłam franko, bezpłatnie.

Kupującym prawdziwy i oryginalny „Exsiccator“ należy zwrócić uwagę na poniższą markę fabryczną, zatwierdzoną przez rządy wielu państw europejskich, która znajduje się wina na wszelkich naczyniach fabrycznych.

Uwaga: Bezustanne i kłamliwe przechwały gudronitu czyli smoły, skierowanej przeciw „Exsiccatorowi“, w swoim czasie w kilkunastu pismach wyjaśniłem i wykazałem bezzasadność takowych.

Wynalazca „Exsiccatora“ Inż. Tech. G. Ritter  
Warszawa, — Królewska 39.



Polski Kantor Bankierski  
RADZISZEWSKI i S-ka  
WARSZAWA — HOTEL EUROPEJSKI.

260-51-22

Treść numeru: Listy o antysemityzmie, przez Bolesława Szerbca V (dok.) — Koniec świata przez E. Drumonta (d. c.) — Listy z Galicyi, przez Rolarza, XXXIX. — Pan pułkownik w Derkałach przez Wincentego hr. Łosia (d. c.) — Mozaika literacko-artystyczna (d. c.) — Na posterunku, feljeton Kamiennego. — Z całego świata, przez E. Jerzynę. — Kronika bieżąca krajowa i zagraniczna. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia. — W odcinku: Von Kramst przez Autorkę „Opowiadań“ (d. c.) — W Dodatku: Sprawozdanie handlowe. — Ogłoszenia.

Redaktor i Wydawca Jan Jeleński. Дозволено Цензурою. — Варшава 17 Мая 1889 г. (Drukiem „WIEKU“ Nowy-Świat N-r. 61)

Patrz Dodatek.

## MAGAZYN MEBLI K. Dziegielewskiego

S-to-Krzyżka Nr. 5.

Poleca wielki wybór mebli stylowych i fantazyjnych,  
oraz najświeższe dekoracje.

365-26-20

## Pracownia Artystyczno-Rzeźbiarska

### LUDOMIRA WASOWSKIEGO

Chłodnia 44.

Przyjmuje zamówienia na pomniki, figury, biusty, ornamentacje z marmuru, kamienia, drzewa, gliny palonej (terrakoty). (331-10-4)

## JAN SOBOCKI

### ZAKŁAD TAPICERSKO-DEKORACYJNY

Nowy-Świat 48.

Przyjmuje wszelkie zamówienia na roboty tapicerskie i dekoracyjne tak w Warszawie jak i na prowincyi, — wykonywając je podług najświeższych modeli i żurnali tak stylowych jak i fantazyjnych; po cenach możliwie tanich.

364-10-1

## Zakład Rzeźbiarski i Kamieniarski

### N. NOWAKOWSKIEGO

ulica Dzika Nr. 71.

posiada gotowe pomniki, oraz przyjmuje zamówienia  
na roboty grobowe i pomnikowe. (276-20-12)



OD LAT 28 EGZYSTUJĄCA

## FABRYKA RAM ZŁOCONYCH

OLTARZY, OZDÓB KOŚCIELNYCH  
MEBLI I DEKORACJI SALONÓW

### E. A. ZALESKIEGO

dawniej J. DRUCHLIŃSKIEGO

JEDYNA NAGRODZONA MEDALEM SREBRNYM  
za dobre i stylowe wykończenie robót,

poleca się Wiel. Panom i Wiel. Księżom Proboszczom  
Ceny umiarkowane, robota dobra.

Krakowskie-Przedmieście Nr 4 i róg Oboźnej.

350-52-8

## APTEKA

### LEWANDOWSKIEGO I HEINTZEGO

przy ulicy Żelaznej Nr. 65,

poleca WODY NATURALNE ZAGRANICZNE I KRAJO-  
WE tegorocznego czerpania. (349-3-3)